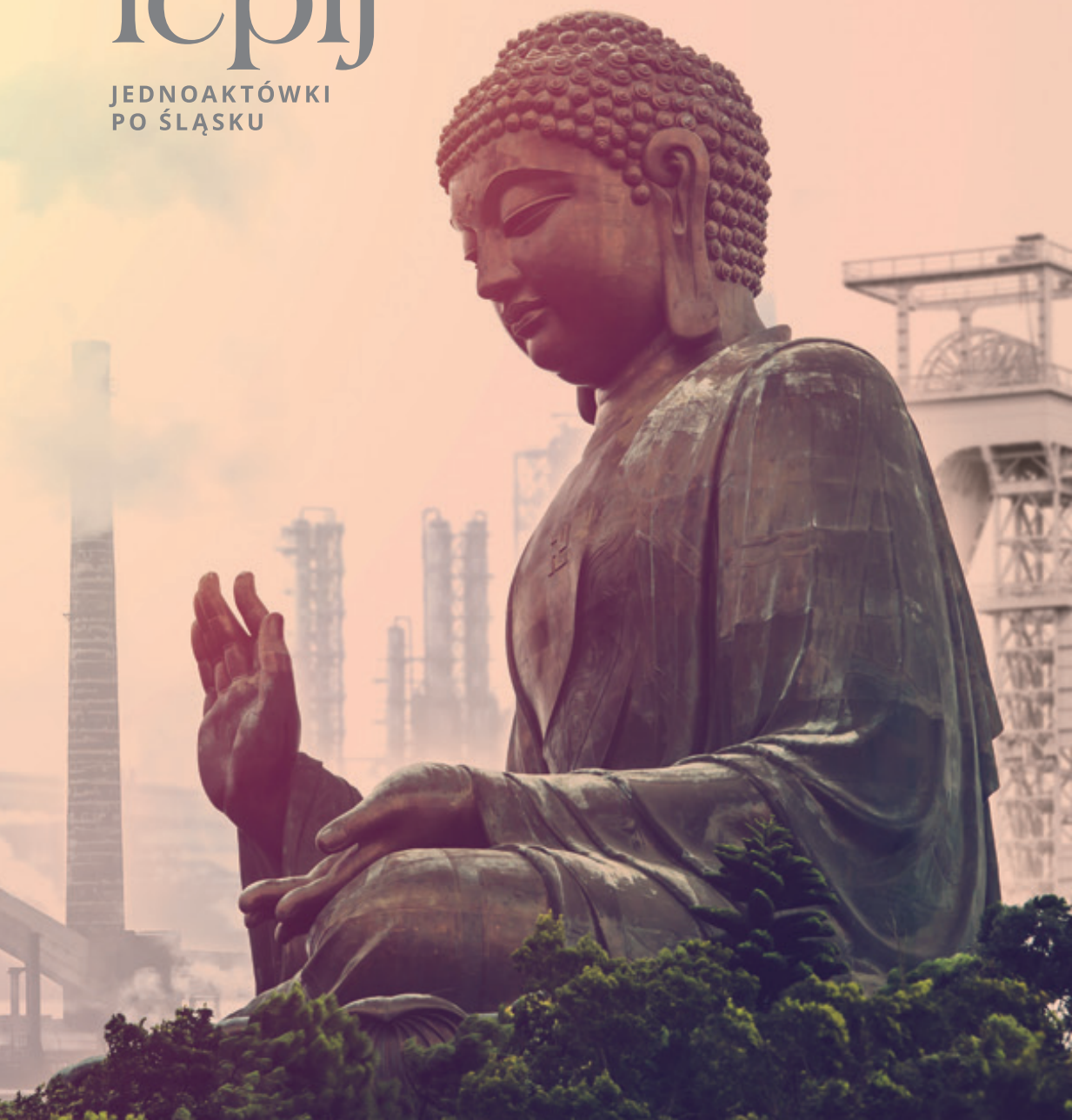


Bydźcie lepiej

JEDNOAKTÓWKI
PO ŚLĄSKU



Bydzie lepij

JEDNOAKTÓWKI
PO ŚLĄSKU

Bydzie lepiej

JEDNOAKTÓWKI
PO ŚLĄSKU

WYDAWCY:

iM!GO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE
Miasto Ogrodów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

PARTNER KONKURSU

PATRONAT MEDIALNY

 REGIONALNY
INSTYTUT
KULTURY
W KATOWICACH

 GAZETA
wyborcza

BYDZIE LEPIJ
Jednoaktówki po śląsku

Redakcja:
Waldemar Szymczyk

Projekt graficzny okładki i stron tytułowych:
Katarzyna Kępa (wykorzystano zdjęcia shutterstock)

Typografia i DTP:
Wojciech Grzegorzycza

Realizacja:
Stapis Katowice

Korekta:
Grażyna Kwiek
Uwaga: w pisowni staraliśmy się zachować język i styl autorów

ISBN: 978-83-63304-82-9

Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright by Imago Public Relations oraz Katowice Miasto Ogrodów
– Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek
Katowice 2016

SPIS TREŚCI

PORADZIYMY SE Z KONKURSEM Rafał Czechowski	7
ŚLĄSKIE DIDASKALIA/NOTATKI JURORA Piotr Zaczkowski	8
WCIĄŻ MAM NIEDOSYT Ingmar Villqist	9
NIE SPOCZYWAMY NA LAURACH Waldemar Szymczyk	10

JEDNOAKTÓWKI

BYDZIE LEPIJ Marcin Melon	13
GDOWA Mateusz Czyba	28
HUSYCKO NALYWKA Grzegorz Sztoler	34
SZACH-MAT Krystian Gałuszka	47

PANNA MARIA 1944	52
Roman Gatys	
WESELE	62
Roman Kocur	
ZWYCIYSTWO	72
Roman Kocur	
LAZARET	80
Roman Kocur	
GRZEŚ ŁOBŁAPIO KRES	89
Danuta Orenowicz	
NA KOŻDEGO PRZIDZIE DRAN	94
Joanna Sodzawiczny	
HAJMAT SPAKOWANY W TASZA	100
Marcin Szewczyk	
JYNDRA	111
Anna Wojtkowska-Witala	

PORADZIEMY SE Z KONKURSEM

Rafał Czechowski*

Jak pokazują może trochę luźno interpretowane, acz poważne, statystyki, przedsięwzięcia, które wytrzymują lat pięć, mają zdolność przetrwać i półwiecze. Piąty tom antologii jednoaktówek po śląsku wieńczy jednocześnie szóstą edycję konkursu na sztukę w jednym akcie napisaną gwarą. Jest to więc być może – oby! – moment przełomowy, statystyczna cezura, numerologiczny niemalże Rubikon, już nie punkt nawet, ale linia cała w czasoprzestrzeni, którą przekroczywszy trwać już tylko naszej skromnej inicjatywie pozostanie! Perspektywa to w sumie nie najgorsza, ale jednak dalece poniżej towarzyszących nam ambicji, napędzanych co roku talentami autorów jednoaktówek i wspaniałymi inicjatywami, które „w pobliżu” konkursu wyrosły. Inscenizacje, publikacje i odwołania do „Jednoaktówek po śląsku” tak liczbą, jak i jakością dowodzą, że oddziaływanie skromnej jednoaktówki nie ustępuje sile całej epopei. Trwanie więc to zdecydowanie za mało. Konkurs i towarzyszące mu formy – jak niniejsza publikacja – powinien rozwojem nadążać za autorami, których prace budzą z każdą edycją większe uznanie jurorów. Niech to będzie zarówno życzenie, jak i deklaracja nas – inicjatorów i organizatorów. W końcu jeśli zdołaliśmy eksportować Buddę z Zagłębia na świat cały – jak w tytułowej jednoaktówce – to z małym konkursem *poradziemy* se tym bardziej!

* Założyciel i prezes Imago Public Relations

ŚLĄSKIE DIDASKALIA/NOTATKI JURORA

Piotr Zaczkowski*

Marcin Melon jest w „Bydzie lepij” (jak w obrazkach z Hanusikiem) niezwykle pomysłowy. Tym razem buduje napięcie, wykorzystując Szekspirowskiego „Makbeta” jako pretekst do opowiedzenia dykteryjki tyle śląskiej, ile uniwersalnej. Dialogi – do czego nas już Melon przyzwyczaiał – czerpią z realiów współczesnych, a każda postać ma własną, do tego (nawet jeżeli Ujek Erwin to umrzik) żywą osobowość. Zagadki tym razem nie ma, ale z każdą odsłoną rośnie ciekawość, jak się wypełni (pięknie po śląsku opowiedziany) kulturowy, literacki i sceniczny archetyp.

„Gdowa” Mateusza Czyby to sprawny obrazek dramatyczny na trzy kobiece postaci – Starej, Dojrzałej i Młodej – trzy różne głosy, trzy epoki, na trzy odmienne, a jednocześnie bardzo podobne oczekiwania na mężczyzn, których albo już nie ma, albo na których jeszcze się czeka. Wspólnotę losu śląskich kobiet, i kobiecości jako takiej, opowiedziano ciepło, lirycznie. Może niewiele w dramatycznej narracji dynamiki, ale statyczność nadaje jej dodatkowej wartości – trzy kobiety są chórem, który mógłby gawędzić w tragedii.

„Husycko nalywka” Grzegorza Sztolera to właściwie kameralny kryminałek. Husyci – „chachary, pierońskie bezbożniki” – ciągną na Pszczynę. Księżę Johan Ajzern, z natury żelazny, zamierza spotkać się z heretykami w polu, ale w jego szeregach czai się zdrada i kwitną dworskie intrygi. Trzeba się z tym wszystkim zmierzyć, skazując na tortury potencjalnego konfidenta, bez pewności, że katowskie męki aplikuje się właściwej postaci. Sztoler uruchomił dwa strumienie wyobraźni, wymyślając dramatyczną fabułę, ale opowiadając ją tak, jak opowiada się baśnie – naiwnie, okrutnie, z ludowym kolorytem. W finale czarny charakter zostaje spontanicznie uwędzony – ale w niczym to nie przyspiesza, mimo oczekiwań publiczności, pozyskania receptury na tytułową nalewkę.

Ważny jest też jeden z wyróżnionych utworów. „Hajmat spakowany w taszy” Marcina Szewczyka to trochę schematyczna opowiadka o opuszczaniu Śląska – albo o tym, że tradycyjne życie zawsze w końcu porzuca osoby dramatu. Historia odrywania się od korzeni przecina się z dziejami walut, w których złotówka przegrywa zrazu z marką, a później z dolarem i funtem. Na podglebiu walutowym rośnie nowe życie, a poprzedniego tyle, ile zmieści się w tobołku, w walizce, w taszy.

* Dyrektor Katowice Miasto Ogrodów – Instytucji Kultury im. Krystyny Bochenek
oraz juror konkursu „Jednoaktówka po śląsku”

WCIĄŻ MAM NIEDOSYT

Ingmar Villqist*

Królewska Huta, 19 września 2016 roku

Drogi Waldku,

zabieram się do pisania wstępu do nowej antologii naszych jednoaktówek po śląsku, ale wpięrow postanowiłem przeczytać nasze teksty wstępne, które pisaliśmy do poprzednich antologii; przeczytałem i przyznam Ci się, że o ile dużo pisaliśmy tam o początkach śląskiego, dramatopisarskiego projektu, naszych nadziejach i obawach, początkowych skromnych sukcesach; pierwszych spektaklach w teatrach amatorskich i zawodowych, pierwszych publikacjach książkowych, wreszcie spektakularnych sukcesach wydawniczych naszych autorów i znaczącej dziś obecności śląskiej, kameralnej dramaturgii w świadomości miłośników teatru naszego regionu, to niewiele pisaliśmy tam o przyszłości.

Nie wiem jak Ty, ale ja mam wciąż niedosyt; bardzo chciałbym, żeby utwory nie tylko laureatów naszego konkursu, ale i pozostałych uczestników znalazły się w repertuarach śląskich teatrów, żeby powstawały z nich słuchowiska w Radio Katowice, w rozgłoszeniach prywatnych, żeby były publikowane w śląskiej, codziennej prasie, w sieci, żeby były wykorzystywane na zajęciach szkolnych z regionalizmu. Przyznasz, że to nie tylko wspaniały materiał literacki, ale też dydaktyczny; gdzie indziej znajdziemy taką różnobarwność śląskiego języka; historie proste jak życie; banalne, śmieszne, smutne, prawdziwie tragiczne; bo wszak taki też był nasz śląski los.

Wierzę jednak, że tak się stanie, ale wiem też, jak wiele zależy od nas; czekają nas rozmowy o dalszym rozwijaniu formuły konkursu na jednoaktówki, bo świat wciąż zmienia się wokół nas, także na Śląsku, a nasi autorzy, jak nikt inny, niezwykle są wyczuleni na ten nerw zmian i przewartościowań, dając temu co rok wyraz w swych konkursowych utworach. Pokłosie dotychczasowych konkursów to już ponad dwieście kameralnych sztuk scenicznych; jakże ciekawy materiał dla ludzi teatru, ale też językoznawców, historyków, socjologów, czytelników zaciekawionych śląskimi, skomplikowanymi dziejami.

Kilka dni temu pisałem jak zwykle jakiś zaległy tekst; kiedy pracuję, słucham zazwyczaj radia; i wyobraż sobie, nagle dociera do mnie, że z anteny ogólnopolskiej stacji słyszę pięknie czytany po śląsku tekst jednego z naszych laureatów. Zasłuchałem się i pomyślałem, że chyba niepotrzebnie się martwimy, bo literatura po śląsku: ta dramaturgiczna i prozatorska, esejistyczna, arcyciekawe tłumaczenia na śląski znalazły już swoje miejsce na Śląsku i poza nim; nie są już ciekawostką czy separatystyczną, rewizjonistyczną prowokacją, ale stały się normalnym, ważnym elementem kulturowej, europejskiej mozaiki.

* Dramatopisarz, reżyser, wykładowca akademicki, juror konkursu „Jednoaktówka po śląsku”

NIE SPOCZYWAMY NA LAURACH

Waldemar Szymczyk*

Katowice, 21 września 2016 roku

Drogi Ingmarze,

już po raz piąty spotykamy się na łamach książki z jednoaktówkami po śląsku. W tym roku publikujemy najlepsze prace z konkursu z roku 2015. Jak zapewne pamiętasz obrady jury, w którym obok Ciebie i mnie zasiadają Mirosław Neinert, Robert Talarczyk oraz Piotr Zaczkowski, nie było łatwo podjąć nam decyzji. Bo jak porównywać ze sobą teksty poruszające ważne dla Górnego Śląska tematy historyczne, polityczne czy obyczajowe z komediami? A, co mnie bardzo cieszy, tematyka prac była bardzo urozmaicona. Ostatecznie zdecydowaliśmy, że główna nagroda należy się Marcinowi Melonowi, który staje się gwiazdą na śląskim rynku wydawniczym dzięki swoim powieściom o komisarzu Hanusiku. Ale nasze uznanie zdobyli także Mateusz Czyba (II miejsce) i Grzegorz Sztoler (III miejsce). Z przyjemnością raz jeszcze przeczytam te i inne wyróżnione prace w niniejszym zbiorze.

Pisząc te słowa, zerknąłem na moją półkę z „książkami śląskimi” i uświadomiłem sobie, że nasz konkurs zaczyna być zauważany i cytowany w poważnych publikacjach. Oto Zofia Oslislo-Piekarska w swojej pracy doktorskiej opublikowanej w formie książkowej „Nowi Ślązacy. Miasto, dizajn, tożsamość”, w której pisze o fenomenie odkrywania śląskiej tożsamości i zafascynowania nią przez młodych ludzi, wspomina o naszej publikacji. Znaleźliśmy się również w encyklopedycznym dziele „Leksykon mitów, symboli i bohaterów Górnego Śląska XIX-XX wieku”. Tam z kolei w jednym z rozdziałów jest odwołanie do naszego zbioru jednoaktówek.

Świetnie, że udało nam się zaistnieć jako zjawisko kulturalne, chociaż nie uprawiamy sztuki łatwej, adresowanej do masowego odbiorcy. Tematy są bowiem często trudne w odbiorze, a forma literacka wymagająca.

A co do Twojej troski o przyszłość konkursu, to zgadzam się z Tobą, że nie możemy spocząć na laurach, że ciągle musimy go rozwijać. Dlatego pracujemy nad tym, aby znaleźć nowe formy komunikacji z czytelnikami i aby prace ze wszystkich edycji były dostępne dla zainteresowanych. Myślę, że dzięki temu łatwiej znajdą drogę do śląskich teatrów, mediów czy nauczycieli regionalnych.

* Dyrektor Wydawniczy w Imago Public Relations, członek Rady Redakcyjnej kwartalnika „Fabryka Silesia”, juror konkursu „Jednoaktówka po śląsku”

JEDNOAKTÓWKI

BYDZIE LEPIJ

Marcin Melon

WYSTYMPUJŌM:

GINTER MAKBECIOK chop, kery robi za ślepra na grubie, a chciŏłby robić za
sztajgra
FRIDA ambitno baba ôd Makbecioka
UJEK ERWIN umrzik, za życio ujek ôd Gintra Makbecioka
RICCHAT DUCZEK sztajger na grubie, na keryj robi Makbeciok
WERONIKA modo frela, sztydyntka, kero prawie prziszła ku tymu, co
je adoptowano. Weronika robi tukej za „deus ex machi-
na”, a w skrócie za „sexmachina”

HAJER

BINA PIYRSZO

Stół i dwa stolki. Baba ôd Makbecioka richtuje ôbiod w kuchni.

MAKBECIOK (*kery jeszcze ani niy wloz do porzôndku na bina i ryczy kajś ôd zadku*):

No co za heksa pierŏńsko!

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Na bifyju mosz tako maść, poszmaruj sie.

MAKBECIOK (*yntliś włazi na bina*):

Co? Co ty godosz? Jako maść?

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Padosz, że cie heksa zaś chyciła.

MAKBECIOK:

Niyyy. Jo niy ô takij heksie godŏm. Tako prawdziwo heksa mie chyciła. Wiysz, tako, co to psinco mo do roboty i ciyngiym ino siedzi w tym ôknie i na ludzi filuje.

BABA ÔD MAKBECIOKA:

A, widza żeś trefił staryj Nowoczki kajś po drodze.

MAKBECIOK:

Te! Jo ida z tego banku, ja? A ta pierona ryczy do mie z tego swojigo ôkna: „Panie Makbeciok, pódźcie ino sam na chwila”. Padom ji, że niy môm czasu, nale wiysz jako ôna je. Prziszoł zech ku nij, a ôna mi pado: „Wiele wy już lot robicie na tyj grubie? Bo synek ôd Pietroniów poszōł robić jakoś pora lot po vos i terozki już robi za sztajgra...”. Te! A co mie ôbchodzi Pietroń? Co to mo zy mnôm wspólnego?

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Ja, ja, ô Pietroniu to jo już wiym. Nowoczka już mi ô tym pedziała we czwor-tek. Chyciła mie, jak zech szła na zumba. Tyż zech sie dziwowała, po jakiy-mu ôn już robi za sztajgra, kej przijōn sie na gruba po ciebie.

MAKBECIOK (*znerwowany*):

A dejcie wy mi pokōj. Jo niy byda brōł udziału w tym pofyrtanym wyścigu szczurów. Pietronie sōm gorole, to zowdy majōm lepij. Nos, Ślōnzoków, na każdym kroku ftoś chce ino utricować.

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Te, co ty godosz, dyc Achim Pietroń je chop ôd nos.

MAKBECIOK:

Ale Pietroniowo sie sam przikludziła z Altrajchu. Ani mie niy nerwuj. Jo ro-bia swoje, yntliś ftoś do na mie pozōr, zoboczysz.

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Do, abo i niy do.

MAKBECIOK:

Mie to sie tak zdowo, że wyście sie z Nowoczkom ugodały, coby mie dzisiaj nerwować. Jak to sie godo? Presja społeczno, ja? „Ginter Makbeciok je gor-szy jak Pietroń, bo robi za ajnfachowego ślepra, a Pietroń robi za sztajgra!”. Niyh jeszcze ino twoja matka sam przidzie i bydziecie derech choby takie trzi hekсы. Ale niy, jo sie niy dom przegodać, że to je jakoś gańba, że tyn gupi Pietroń robi za sztajgra, a jo niy.

BABA ÔD MAKBECIOKA (*stawio na stole talyrz z żurym*):

A czy jo godōm, że to je jakoś gańba? Jo to bych ino chciała, żebyś ty fte-dy ôwdy tak sie som siebie spytōł: „Fto jo tak naprowdy je? Jaki jo môm cyl mojigo żywobycio? Kaj jo bych chciōł być za piynć lot? Za pietnoście lot? Za dwajścia piynć lot?”.

MAKBECIOK:

A kaj bych miōł być? Tukej, pra? Dyc sam miyszkomy.

BABA ÔD MAKBECIOKA:

I durś bydziesz robił za ajnfachowego ślepra, ja? Aże do pynzyji? I ciyngiym bydymy jeździć tym starym daewoo, pra? A Pietronie sie za tyn czos lajstnōm normalne auto. Jakeś beemwu, abo inkszego merca. Ale niyyy. Ciebie niy bydzie gańba. Boś ty je Ginter Makbeciok, ty zawdy bydziesz robił za ślepra i siedziōł po cichu. Boś je za fest wylynkany, coby cosik pedzieć! I bydziesz wynokwiōł ô jakichś wyścigach szczurōw. I te twoje fandzolinoj, co Pietroń je gorol, a tyś je hanys i skiż tego mosz ciynżyj w życiu. A prowda je tako, że...

MAKBECIOK (znerwowany):

Ustoń!

Makbeciok i jego baba chwila frygajōm żur po cichu.

MAKBECIOK (kery terozki sie już trocha uholkōł):

Te! Jak tak cie suchom, to można i mosz trocha recht. Jo niy mōm tak richtich w gowie żodnyj wizje swoji kariery zawodowyj. Te, Frida, a fto by mi poradził tako wizjo pedzieć?

BABA ÔD MAKBECIOKA:

A co byś pedziōł na coacha?

MAKBECIOK:

Ja, a mōsz?

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Jo niy, ale jak my bōły na zumbie, to Kandzino pedziała, że mo jednego. Pado, że je richtich dobry.

MAKBECIOK:

A z posypkōm?

BABA ÔD MAKBECIOKA (znerwowano):

Jezderkusie! Ty gryncbōło pierōnsko niydouczone! Jo godōm ô coachu, a niy ô kołoczu! Coach to je taki chop, do kerego idziesz i ôn ci pomogo w samorozwoju. Wiysz, że Kandzino robiła za kobucha w KZK, ino że zlikwidowali jeji stanowisko. Ty wiysz, że ôny tak to fechtło, że niy umiała sie znojsć miejsca w domu. Jeździła ciyngiym autobusym do cyntrum i nazod i dowiała pozōr, eli ludzie kasujōm bilety. Kandzia sie yntliś znerwowōł i pedziōł ji, że ji piere na dekel. Że ôna musi sie znojsć swoja „ścieżka samorozwoju”. I ôna poszła do tego coacha i ôn ji pedziōł, że tak naprowdy to mo być rada, że jōm zwolnili, bo to je szansa do nij. Że terozki może iść dalij fōrt do przodku. I wiysz, że pora tydni Kandzino niyskorzyj dostała inkszo robota?

MAKBECIOK:

Richtich? Kaj robi?

BABA ÔD MAKBECIOKA:

W Lidlu na kasie. Ale to sie niy ô to rozchodzi, ino ô to, coby poradzić zoboczyć szansa do siebie tam, kaj inkszy zoboczy ino utropa.

MAKBECIOK:

Te, a co taki coach tak naprowdy robi? Niy ma to cosik takigo choby psychiatra?

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Co ty zaś fandzolisz, żodyn psychiatra. Ty tam ino idziesz, normalnie siedzisz, a ôn sie ciebie pyto ô roztomajte rzeczy. I ôn tyż godo ci ô roztomajtych filozofach, ja? Kandzino pado, że tyn jeji coach to ciyngiym ôsprawił ô filozofach ze Wschodu.

MAKBECIOK:

Ze Wschodu, ja? Jo zawdy mił taki gyfil, że hań tyż bydzie jakoś cywilizacja, ino że blank inkszo jak nasza.

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Co ty godosz, „jakoś cywilizacja”? Ty pamiyntosz, kej ty żeś ôstatnio jakoś ksiōnżka poczytł? Dyc tam bōła cywilizacja piyrwyj jak u nos. Ty sie ani niy poradzisz forsztelować, wiela naszo kultura może erbnōńc ôd nich. Bud-da, Konfucjusz, ciebie sie zdowo, że skōnd ône bōły? Ino ze Wschodu.

MAKBECIOK:

Richtich? Widzisz, a godajōm, że w tym Sosnowcu ino same lōmpy miyszkajōm.

BABA ÔD MAKBECIOKA (*zbiero talyrze ze stoła*):

Wiysz co, szkoda godki z tobōm. Można i lepij, że ty do penzyji bydziesz robił za ajnfachowego ślepra, boś na sztajgra je za gupi.

MAKBECIOK (*biere do rynki gazeta*):

Te! Zobocz. Jakiś konkurs je na sztuka tyjatrалno napisano po ślōnsku. Piynćset złotych idzie wygrać. Te, a można jo byda pisōł sztuki tyjatrалne?

BABA ÔD MAKBECIOKA (*po cichu, coby pokozac, że mo kajś to, co ôn godo*):

Ja, ja, na zicher.

MAKBECIOK:

Pamiyntosz, jak za bajtla nom nazdowali za godanie po ślōnsku? A terazki to sie werci znać godka. O, coś ci poczytōm: „dziś użytkownicy ślaskiej mowy są niezwykle cenieni na rynku pracy, gdyż są swoistymi native speakers...”. Te! Tyś wiedziała, że my sōm „swoiste native speakers”?

BABA ÔD MAKBECIOKA (*durś po cichu*):

Niy, tego żech niy wiedziała.

MAKBECIOK (*czyto dalij*):

Kule, Ruch chce sie lajstnōnc jakigoś nowego tormana. Te! A Szkoty bydōm mieć referyndum. Jo ci godōł, co moja familjo sam sie skludziła ze Szkocji w ôziymnostym storocz, pra?

BABA ÔD MAKBECIOKA (*po cichu*):

Ja, ja, skiż tego żeś je tako sknyra.

MAKBECIOK:

Z Baildonem sam przyjechali do roboty. Piyrwyj my sie mianowali inakszyj. McDonald abo McGyver, już niy poradza spamiyntać. Ino niyskorzyj starzik ôd mojigo starzika zaczli sie pisać „Makbeciok”, coby wyncyj po ślōnsku bōło.

BABA ÔD MAKBECIOKA:

McGyver na zicher niy, bo mōsz dwie lewe rynec.

MAKBECIOK (*czyto*):

A warszawioki zaś majōm jakoś afera. Te! Bo ône tam majōm tako restaurajo, wiesz, „Ojla i kamraty”. Jak tam cosik powiysz, to na drugi dziyń zaroz cōłko Polska ô tym godo. Jerona, po jakiymu u nos niy ma takigo czegoś, jo niyroz poradza cosik tak mōndrze pedzieć, jak siedza w szynku u Alojza. No i suchej... Ftoś nagrōł ministra zdrowio, jak po pijoku pedziōł ô ministrze edukacji...

BABA ÔD MAKBECIOKA (*ślimto*):

A co mie to ôbchodzi, co pedziōł jakiś warszawiok?

MAKBECIOK:

Fridko, no, niy nerwuj sie na mie. Jo pōda do tego coacha i zoboczysz, że narichtuja sie tako epno strategia samorozwoju, ja?

BABA ÔD MAKBECIOKA (*ślimto*):

Jo niy chca żodnyj epnyj strategii. Jo ino chca, cobyś miōł normalno robota za sztajgra, tak jak tyn leber Pietroń. Coś ty je gorszy jak ôn?

MAKBECIOK:

Fridko, wiesz, żech niy ma gorszy, ino musisz to spokopić, że musiōłbych poczekać, aże sztajger Duczek pōdzie na penzyjo. Myśla, że wtynczos...

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Jo już mōm dość tego czekanio. Można jo sie miała wydać za Pietronia, to bych miała terozki chopa sztajgra? A tak, to co jo mōm? Chopa abo ino galoty?

MAKBECIOK (*znerwowany biere gazeta do rynki*):

Cisna do haźla. I godōm ci, że niy przida nazod, aże czegoś niy wynokwia.

BINA DRUGO

Makbeciok i sztajger Duczek siedzōm przy stole i pijōm gorzoła. Baba ôd Makbecioka włazi na bina, stowo na śródku i pado dramatycznie:

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Kej cōłki świat to sōm cygony, musisz chytrzyjszy być, jak ône. Fto na tym świecie tela lot żyje, wiy, że pod kwiotkiem chowiōm sie žmi...

MAKBECIOK:

Frida? A dosz nom jeszcze tych wusztlikōw, wiysz kerych, ja?

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Ja, ja, Ginter, już po nie ida.

MAKBECIOK:

Jezderkusie, panie sztajger, jaki jo je rod, że wyście do nos przyszli z byzuchym. Jo to wos zowdy miōł w zocy. Wyście mi byli choby za fatra.

DUCZEK:

Sucehcie, jak my sie już tak trefili ganc priwat, to można godejcie mi Richat. Ale godali my ô fusbalu. Jo cōłki czos myślōł, że wyście sōm za Ruchym.

MAKBECIOK:

Jo? Za Ruchym? Katać tam! Jo je kibic Gōrnika, gynau jednako jak i wy.

DUCZEK:

No to, chowie, musimy sie richtich napić gorzołki.

Duczek biere flaszkã i polywo.

MAKBECIOK:

Weźcie sie jeszcze wusztlika. Sucehcie, a co byście pedzieli ô naszym dyrektorze Marnioku?

Makbeciok dowo znać swoji babie, kero stowo ôd zadku za Duczkiem i wyciōngo diktafon.

DUCZEK:

Dyrechtōr Marniok? Dyc jo pamiyntom tego mamlasa, jak ino prziszōł do roboty na gruba. Psinco sie znōł na tyj robocie. Jakby niy to, że miōł teścia w zarzōndzie, toby durś robił za ajnfachowego ślepra. Miōł dwie lewe rynce i ciyngiy ino filowōł za babami.

MAKBECIOK:

Padocie, że ôń sie niy nadowo za dyrehtora?

DUCZEK:

Tyn leber? To jo bych sie już bardzij nadowōł, jak ôń!

Makbeciok dowo znać swoji babie, co styknie nagrywanie i mo sztopnōńć diktafon.

MAKBECIOK:

To co? Napijymy sie jeszcze? No to cyk!

Duczek szłepie gorzoła i wtynczos biere go spanie.

MAKBECIOK:

Mōsz to?

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Mōm!

MAKBECIOK:

Mōmy go! Te! Zobocz, żech sie cōłki rynkow pokidōł fetym z tego wusztli-
ka! Frida, weź mi to wypier gibko, coby flek niy ôstōł.

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Dej, chopeczku, dej, seblycz ta oberhymda, jo ci zaroz to wypiera. *(seblyko oberhymda ôd Makbecioka, biere jōm na bok, tre jedyn rynkow ô drugi. Yntliś stowo na środku biny z oberhymdōm w rynce i pado dramatycznie):* Kej na sumiyniu mōsz człowiyka, gibko niy spieresz takigo fleka. To niy sōm bojki, ani bery, żodyn detergent ich niy wypiere!

Baba ôd Makbecioka ślimto i ciśnie weg z biny, Makbeciok drałuje za niōm.

MAKBECIOK:

Frida, co ty godōsz? Jak niy wypiere? Ty mosz jakiś proszek polski – ajnfachowy, to skiż tego. Godōł żech, coby lajstnōńć sie jakiś porzōndny, niymiecki.

BINA TRZECIO

Słychać larmo kajś ze zadku, idzie spokopić, że prawie je jubel skiż awansu ôd Makbecioka. Na bina włazi ujek Erwin, poôblykany na czorno. Stowo i psinco godo.

HAJER *(kajś za binōm):*

Kaj ty idziesz, chowie? Gorzołki sie z nami niy napijesz?

MAKBECIOK:

Jo... Jo hnet byda nazod, ino do haźla musza.

HAJER:

Suchejcie, nasz kamrat, nowy sztajger Ginter Makbeciok, idzie do haźła. To co?
Napijmy sie jeszcze gorzołki?

Makbeciok włazi na bina. Kuko wylynkany na ujka Erwina.

UJEK ERWIN:

Zajynte.

MAKBECIOK:

Jezderkusie, ujek Erwin!

UJEK ERWIN:

Ja, to jo.

MAKBECIOK:

Ino że... Dyc ujek sôm umrzik, pra? Dyc my ujka chowali ôńskiego roku.

UJEK ERWIN:

No ja. Tońszych kwiotkôw jużeście z Fridôm niy poradzili znojść.

MAKBECIOK:

Jerona, ujek, zaroz pogodomy, ino niy gorszcie sie, ale jakbyście przôdzij mogli mie do tego haźła puścić, bo jo już richtich musza...

UJEK ERWIN:

Cicho bydź, pierōnie! Terozki bydziesz suchōł, co ci musza pedzieć. Suchej, Ginter, jo znôm prowda. Jo wiy, co ciebie w gowie siedzi.

MAKBECIOK:

Jerronie! Jo môm alzheimer, ja? Abo guza? To skiż tego jo wos widza!

UJEK ERWIN:

Żodnego guza! Jo wiy, co żeś, giździe, zrobił sztajgrowi Duczkowi!

MAKBECIOK (*udowo gupigo*):

Duczkowi? A co jo żech mu takigo zrobił?

UJEK ERWIN (*udowo Makbecioka*):

„Jo wom jeszcze gorzołki naleja, panie sztajger, ja? Jak jo wos mom w zocy!
I jo tyż za Górnikiem ida! A co byście pedzieli ô dyrektorze Marnioku?”

MAKBECIOK (*wylynkany*):

Jezderkusie. To ôna! To Frida mi kosała! Jo niy chciōł. Ujek, wy ani niy wiy-cie, jako ôna poradzi być... tako... demonicznie!

UJEK ERWIN:

I co ty terozki zrobisz, Ginter, chopie? Bydziesz musiōł ciyngiym żyć z tym, co żeś napochōł.

MAKBECIOK:

Ja? Ino tela? Niy pōda do wiyzniynio, ani nic?

UJEK ERWIN:

Suchej, ô tym, co żeś zrobił, wiyśz ino ty, jo i Frida, twoja baba. A jo żodne-mu pedzieć już niy poradza, bo żech je umrzik. Aha, mōm do ciebie jeszcze przepowiednia.

MAKBECIOK:

Przepowiednia? Jezderkusie!

UJEK ERWIN (*wyciōngo kōncek papiōru z kapsy i czyto*):

„Żodyn, kerego napoczło chopa i baby przōnie, cie niy wyzdradzi, Ginter, ty pierōnie”.

MAKBECIOK:

I to je ta przepowiednia niby, ja? Ani to sie niy rymuje... Ujek, prziznejcie sie, wyście same to znokwili, pra?

UJEK ERWIN:

Synek, ciebie sie zdowo, że jo mōm psinco do roboty, ino przepowiednie ukłodać? My to dostowomy i ino momy wom przekozać, cobyście wiedzieli, co was czeko.

MAKBECIOK:

Nale jak jo mōm to spokopić? „Żodyn, kerego napoczło chopa i baby przōnie”. Dyc każdy z nos zostōł napocynty skiż tego, że jego fater i jego mamulka przoli jedne drugimu. To jo to rozumia tak, że niy mōm sie czego boć, bo żodyn normalny człōwyk mie niy wyzdradzi, pra?

UJEK ERWIN:

No, jo tyż tak to rozumia.

MAKBECIOK:

Ponbōczku, a jo sie już tak starōł... Ujek? A jak już my sie trefili, to poōsprawieście ino, jak to je hań, po drugij stronie?

UJEK ERWIN:

Synek! Ty sie ani niy poradzisz tego forsztelować! Tam je wszystko blank inksze! Wiyńksze, fajnijsze, bardzij kolorowe! Jezderkusie, czego ône tam niy majōm! Szokolady roztomajte, bombony, łachy blank inaksze jak u nos. Jo żech sie ôd razu lajstnōł tako lyjderjakla czorno... Ino jedne, czego niy majōm, to wusztu. Ja, takigo wusztu, jak u nos, to hań u nich niy znajdziesz.

MAKBECIOK:

Te! Ujek! Po jakiemu mie sie zdowo, że wy mi prawie dwiesta sztyrnosty roz ôsprawio cie ô tym, jak żeście pojechali do ciotki Trauty do Bochum?

UJEK ERWIN:

No toć! Dyc ô tym ci godôm! A ô co ty żeś sie mie pytôł?

MAKBECIOK:

Ujek! Jo to na pamiynć znôm, ciyngiy m ô tym żeście za życie godali!

UJEK ERWIN:

No to ô co ciebie sie rozchodzi?!

MAKBECIOK:

Jak tam je! Hań po drugij stronie! Hań, skônd żeście tukej przijechali terozki!

UJEK ERWIN:

Aaa. A tego, synek, to jo ci prawie pedzieć niy moga.

Ujek Erwin idzie weg, a Makbeciok ciśnie nazod do swoich kamratôw, kere ciyngiy m za nim wołajôm, bo niy poradzôm spokojić, wiela to idzie siedzieć we haźlu.

BINA CZWORTO

Makbeciok przilażi niyskoro do dom naprany. Jego baba czekoz już na binie, w rynce trzimie nudelkula.

MAKBECIOK:

O, Fridka! Ty durś niy śpisz? Tyś na mie czekała, ja? Te! A na co ciebie je ta nudelkula?

BABA ÔD MAKBECIOKA (znerwowano):

A jak ci sie zdowo?

MAKBECIOK:

Te! Jo niy chca nic godać, ale ty sie robisz trocha pitomo na starość. Ty wiysz wiela je godzin? (*kuko na zygor*) Ćwiyrc na jedna w nocy, a ty bydziesz terozki nudle kulać? Choby tego niy szło rano zrobić.

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Ty ôżyroku pierônski! Jo sam na ciebie czekom, a tyś zaś sie naprôł z kamratami! I ani, giździe, niy poradzisz mobilnioka ôdebrać!

MAKBECIOK:

Frida! Ustôn. Godosz do nowego sztajgra Gintra Makbecioka.

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Jezderkusie! Richtich?! Oficjalnie, ja? Mōj chop bydzie sztajgrym terozki?
A co ze sztajgrym Duczkiem?

MAKBECIOK (*chichro sie*):

Forszteluj sie to, Frida, jakiś gisz go nagrōł na diktafon, jak pedziōł pora fest
niyfajnych rzeczy na tymat dyrehtora Marnioka. No i ftoś podciepōł Mar-
niokowi ta „taśma prowdy”. Dyrehtor fest sie znerwowōł, no i...

MAKBECIOK i BABA ÔD MAKBECIOKA (*wroz*):

Niy ma już sztajgra Duczka!

MAKBECIOK:

Dzisiej zacła sie era nowego sztajgra – Gintra Makbecioka! I zoboczymy, co
terozki powiy tyn gorol Pietron i ta staro hekza Nowoczka!

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Jo już wiy, na co pōdzie piyrszy geltag! Sprawiymy sie nowe flize w łazien-
ce. I pomalujemy izba. Jerōnie, jako jo je rada!

MAKBECIOK:

Te, Frida! A powiydz mi ino tako rzecz... Dowosz ty wiara w roztomajte zja-
wiska nadprzyrodzone?

BABA ÔD MAKBECIOKA (*chichro sie*):

A co? Godōłżeś z Kandziōm, pra?

MAKBECIOK:

Z nim? Niy. A po jakiymu sie pytosz?

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Suchej. Wiysz, że Kandzie tela lot chcieli mieć bajtla, pra? I dzisiej jak zech
szła na zumba, to Kandzino mi pado, że je w ciōnży!

MAKBECIOK:

Richtich? Te, Frida! A można to tyż dziynki tymu coachowi, do kerego ôna łązi?

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Weż, niy fandzol ani takich gupot. Kandzie tela lot szporowali i yntliś bōło
ich stykać na in vitro. I ôna je w ciōnży in vitro.

MAKBECIOK:

Ja? No to fajnie... Jerōna! In vitro! Niy godej!

BABA ÔD MAKBECIOKA:

A coś ty sie tak ôroz wylynkōł tego in vitro? Niy godej, żeś ty sie zrobił na
stare lata taki kościelny? Jak mi jeszcze powiysz, że sie boisz džendera, to jo
cie richtich ôstawia.

MAKBECIOK:

Co ty godosz, gupio babo?! In vitro! Ty psinco rozumisz! In vitro, ja?! Bajtel, kery niy bydzie napoczynty z przõnio chopa i baby! Dyc õn mie wyzdradzi! Tak pado przepowiednia!

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Co ty fandzolisz? Jako zaś przepowiednia?

MAKBECIOK:

Suchej, jak jo bõł dzisiej w szynku z chopami, to żech poszõł do haźla. I hań, w tym haźlu żech trefił mojigo ujka Erwina!

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Jezderkusie, ciebie richtich pizło na dekiel! Dyc ujek Erwin sõm umrzik, prze-ca õńskigo roku na podzim my go chowali.

MAKBECIOK:

Frida, godõm ci, co żech widziõł. I ujek Erwin pedzieli mi, że õne wiedzõm, co my zrobili sztajgrowi Duczkowi. Skiż tego, że õne sõm terozki umrzik i wiedzõm wszystko! I pedzieli mi tako przepowiednia.

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Jezderkusie, Ginter, jo dzwonia na pogotowie, tyś richtich õgupnõł.

MAKBECIOK:

I jo ta przepowiednia tak spokopił, że sie niy mõm czego lynkać, bo żodyn napoczynty z przõnio baby i chopa mie niy wyzdradzi. Nale terozki tyś mi pedziała, że bajtel õd Kandziõw bydzie z in vitro. Ty to rozumisz? Z in vitro! Tyn mały pierõn nos wyzdradzi!

BABA ÔD MAKBECIOKA (*ślimto*):

Ginter, jo sie ciebie terozki boja.

MAKBECIOK:

Jo tam musza lecieć. Jo niy zezwola na to, coby tyn mały gizd zachabił nom nasze flize!

Makbeciok leci gibko weg.

BABA ÔD MAKBECIOKA:

Ginter, poczkej! Dyc tego bajtla jeszcze ani niy ma! Jeronie, sztopnij, abo byda dzwonić na policjo!

Baba õd Makbecioka leci za nim.

BINA PIŌNTO I ŐSTATNIO

Makbeciok siedzi wele stoła załomany. Włazi baba ôd Makbecioka.

BABA ŐD MAKBECIOKA:

I coś ty nojlepszego napochôł? Terozki mosz na zicher pierônowego kaca, pra?

MAKBECIOK:

Ja. A co jo tak naprowdy napochôł?

BABA ŐD MAKBECIOKA:

Poleciôł żeś w środku nocy do Kandziów i ciepniôł żeś sie na Kandziny. Na baba w ciônzy żeś sie ciepniôł! Kandzia musiôł wołać policajów, kere wziynli cie na izba. Na grubie już ô tym wiedzôm. Ino jeszcze niy wiadomo, eli cie wyciepnôm, eli przidziesz zaś nazod do roboty za ajnfachowego ślepra.

MAKBECIOK (*wajo*):

Jezderkusie... Przepowiednia... Ujek Erwin mieli recht...

BABA ŐD MAKBECIOKA (*ślimto*):

Ginter, ty sie na mie niy gorsz, ale po tym wszystkim jo już niy moga być z tobôm. Jo czuja, że ty już psinco w życiu poradzisz szafnōńc. Jo cie musza ôstawić.

Baba ôd Makbecioka idzie weg, na bina włazi sztajger Duczek.

DUCZEK:

Ginter, chowie, co sam taki markotny siedzisz?

MAKBECIOK:

A co wôm, panie sztajger, tak wesoło? Dyc wos tyż z roboty wyciepli.

DUCZEK:

Dogodôł zech sie z Marniokiem i poszôłech na wcześniejszo penzyjo. Môm terozki wiyncyj czasu do moich krôlików i briwów. Piyrywij zech bôł fest znerwowany na tego gizda, kery mie nagrôł po pijoku i podciepôł ta taśma Marniokowi. Nale terozki to sie myśla, co zech je tymu rod. Zoboczysz, Ginter, terozki twoja utropa wydowo ci sie fest srogo, nale za jakiś czos poradzisz na to wejrzeć blank inakszyj. Prziniesia ci piwo, chcesz?

Duczek idzie weg, na bina włazi ujek Erwin.

MAKBECIOK:

Te! Ujek, ôna mie ôstawiła. Z roboty mie wyciepnôm. Co jo napochôł?

UJEK ERWIN:

Nic sie, synek, niy starej. To już wszystko piyrywij bôło ôbsztelowane na wiyrchu. Co byś niy zrobił, ôd razu bôło wiadomo, że ci sie niy udo.

MAKBECIOK:

Richtich?

UJEK ERWIN:

Ja. Momy na wiyrchu takie cosik, co sie mianuje Pe-De-eŚ. Program Dupowatości Ślōnzokōw. To je taki srogi dokumynt, kery koże nom wachować, coby żodnemu Ślōnzokowi nigdy sie nic niy udowało. Jakby sie bez cufal keremuś roz cosik udało, to świat by już niy bōł taki som.

MAKBECIOK:

Ale naprowdy?

UJEK ERWIN:

Niy. Za bozna cie robia. Som żeś sie je winny, paciuloku. Pyrsk.

Ujek Erwin idzie weg z biny, na bina włazi Weronika.

WERONIKA:

Wyglōndosz na chopa, kery mo pierōnowo utropa.

MAKBECIOK:

Idzie tak pedzieć.

WERONIKA:

Jo tyż. Jak chcesz, to moga ci poōsprawiać ô moji utropie, a ty mi poōsprawiosz ô swoji, ja?

MAKBECIOK:

W skrócie: baba mie ôdeszła, wyciepli mie z roboty, a w haźlu widza umrzikōw.

WERONIKA:

Ciynżko sprawa. Nale jo mōm gorzj. Prawie żech sie dowiedziała, żech je adoptowano. Cōłki świat mi sie kopyrtnōł. A wiysz, co je nojgorsze? Mōj biologiczny fater je z Altrajchu.

MAKBECIOK:

Z Altrajchu, ja? Nale dyć to niy ma żodno gańba.

WERONIKA:

Jak to niy ma?

MAKBECIOK:

Wiysz, jo duzo ksiōnżek czytōm. Kōżdemu sie wydowo, że hań w Altrajchu to niy ma żodnyj kultury, ino same lōmpy. Nale jo czytōł, że to niy ma prowd. Tak naprowdy to hań już cywilizacjo bōła piyrwyj jak u nos.

WERONIKA:

Richtich?

MAKBECIOK:

Toć! Mało fto wiy, wiela my tak po prowdzie erbli ôd cywilizacji Wschodu.
Konfucjusz, Budda. Ciebie sie zdowo, że skōnd ône byli? Ino ze Sosnowca!

WERONIKA (*filuje na niego zolytnie*):

Jerōnie, jakiś ty je mōndry...

MAKBECIOK:

Wiysz, trocha sie tych ksiōńżek poczytało... Piyrywj zech robił za sztajgra
na grubie, nale zech prziszōł ku tymu, że kariera to niy ma wszysko.

WERONIKA:

Te! Podobosz mi sie... Pōdymy do mie?

MAKBECIOK (*rozhajcowany*):

Te! Toć, że pōdymy!

Weronika idzie weg z biny, cinyngiy zolytnie kuko na Makbecioka.

MAKBECIOK:

Pamiyntejcie, egal, co wom sie w życiu trefi, zowdy bydzie lepij! I pamiyntej-
cie, że niy śmiecie cyganić! I niy suchejcie umrzikōw, kerych treficie w haż-
lu! Poczkej na mie! (*leci za Weronikōm*) I zowdy dowejcie pozōr na ta gryf-
no zajta waszego żywobycio!

Muzyka, można „Always look on the bright side of life” Monty Pythona.

GDOWA

Mateusz Czyba

Sztuka w jednym akcie, lekko symultaniczna

Na scenie trzy łóżka: po lewej łożo małżeńskie z lat 60., po prawej rozłożona wersalka z lat 80., w środku współczesny tapczan. Tapczan wysunięty do przodu. Wszystkie zasłane. Przy każdym nocna szafka z zapaloną lampką. Każde łóżko oświetlone z góry. Od lewej wchodzi Młoda, w ciąży, radosna, po dwudziestce, czesze włosy, czyta pismo modowe wyjęte z szafki. Zajmuje lewą przestrzeń sceny wraz z łóżkiem. Od prawej wchodzi Dojrzała, po czterdziestce, czesze włosy, zaczyna czytać książkę. Zajmuje prawą przestrzeń sceny wraz z łóżkiem. Nieco później wychodzi Stara, stateczna, ok. 70 lat, czesze włosy, nuci kościelną pieśń. Zajmuje środek. Wszystkie ubrane w takie same koszule nocne.

Kobiety wykonują różne czynności niezależnie od siebie, niekoniecznie wg sugestii autora.

STARA (klęka przy łóżku, robi znak krzyża):

W imię Ojca i Syna. Ja, ja, co jo ci to miałach pedzieć? Jo już tak dugo klynkać niy poradza... A jeronie! Takich gupot ci niy byda godać, szłapy mie bolom i to je moja sprawa. *(siada na łóżku)* No, Pyjterku, kaj żeś ty je, co? Niy powiysz mi? Ja, co ty mie możesz pedzieć, jak ty żeś nigdy nic niy godoł. Ani dobrego, ani złego. *(milczy)* Aże takij sklerozy jeszcze niy mom.

DOJRZAŁA *(chowa książkę w szafce)*:

No ja, zaś szychta po szychcie we szynku, pora sznapsów i pódzie bez Fryncita do dom. Pieroński gupielok.

MŁODA *(odkłada pismo, przegląda się w lusterku)*:

Para mo, że hej! *(chichocze)* Niy je szmodrok, łoblyc sie poradzi, kupa roboty na tyj grubie mo, ale fajne piniondze zarobi, a z takom parom to eli ratownikim niy zostanie... Ino żeby mu do mie trocha tyj pary zostało. *(chichocze, bierze pismo, przegląda)* Ale sie w tyj Warszawie łoblykajom! Oj, Pyjter, ty mie tam musisz wzionć!

DOJRZAŁA:

Wiele to już lot mie do tyj Warszawy bierzesz? Dwadziścia? Terozki to mie sie już nawet niy chce. Co jo bych tam miała robić? We Zynicie jo już pora lot niy boła, a do Warszawy mom jechać?

STARA:

Takie niskie banki zrobili i jo sie moga elegancko do Bytomia jechać, ale te stare bany tyż jeszcze jeżdżą, ino mie tak szłapy bolom, wlyżć niy poradza...

MŁODA:

No wiele to już je? Kaj tyn gizd sie szlajo? Już godzina tymu skończył szych-ta! Jeronie...

STARA:

Pilech zjadła, a terozki mie łeba boli. Wiele to je?

DOJRZAŁA:

Już jedynoscie. Niy... pół dwanostyj! (*nasłuchuje*) Zaś tyn łód Bazgierów wyje. Żeby to jeszcze jaki pies boł, ale taki pogupiały dakiel.

STARA:

Pyjterku, a wiysz, że mie sie tyn pies łód Bazgierów przypomniał? Taki fajny kundelek. Zowdy na ciebie szczekoł. Łoni go dugo mieli...

MŁODA (*przegląda pismo*):

Jak już bydymy w tyj Warszawie, to sie psa kupiymy. Mój opa musieli mieć psa, łon bez psa to by chyba umar. A jo tyż kochom psy. Wilczury som takie fajne.

Błyskawica. Grzmot. Wszystkie wskazują pod pierzyny/kołdry.

Szum deszczu, cichsze grzmoty.

MŁODA, DOJRZAŁA, STARA:

Chrystus zwycięża, Chrystus króluje, niech Chrystus uchroni nas przed wszelkimi burzami i błyskawicami! (*ciszej*) Chrystus zwycięża, Chrystus króluje, niech Chrystus uchroni nas przed wszelkimi burzami i błyskawicami!

(Młoda i Dojrzała powtarzają jeszcze ciszej)

STARA:

Pierony niy bozny, jedyn mi łojca zabioł, sioszce Heli chałpa spoloł.

(szepem razem z Młodą powtarza nadal modlitwę)

DOJRZAŁA:

Kajś ty je, Pyjterku? Wiysz jak sie boja. Co jo mom za chopa? Co jo z nim mom? A keby ciebie jaki pieron szczelył!

Młoda i Stara kończą modlitwę, chwila ciszy.

MŁODA:

Może jaki wypadek boł, abo co? Sama już niy wiym, byle jakie wypadki na tych grubach som. Mom sie terozki durch starać, bo chop na grubie robi?

Deszcz ustaje.

STARA:

Ale ulga. Ponboczku, ty mie już wiyncyj tak niy strosz.

MŁODA (*czesze włosy, śpiewa*):

„Dziwny jest ten świat, gdzie od tylu lat człowiekiem gardzi człowiek”.

DOJRZAŁA:

Mogłach sie rozwiysć. Te dziysiynć lot tymu. Ino dziecków żol. A za co jo bych je utrzymała? Te pora groszy, co dostowom? Przinojmniy tyn gamoń mo matura. Zomowiec. Po kim łon to mo? Chyba niy po mie. Łobydwa gupie ciule. Jeszcze mie chcom legitka wcisnąć, a to niydługo wszystko dupnie. Łojciec – partyjny łożyrok, synek – zomowiec, ale ze Alusi cosik bydzie na zicher. Jak łona gryfnie po francusku godo.

*(przechadza się wokół łóżka, nuci „L’ete Indien”,
dołącza do niej Stara. Młoda płacze)*

MŁODA (*przez łzy*):

Kajś ty je, mamó? Tak mi je zimno, nogi mi zmarzły, zaś byda choro. Napila bych sie mlyka. (*głodzi się po brzuchu*) To chyba bydzie synek, fusbaler, durch mie kopie. Bydzie sie nazywoł Andrzej.

STARA:

A ze Andrzejkiym sie widzisz, co? Takie małe bajtle we Niebie chyba jeszcze rosnom. Terozki by boł po czterdziestce? Ja, ja, dobrze po czterdziestce! (*wyciąga z szafki zdjęcie dziecka, ogląda. Dojrzała robi to samo*)

DOJRZAŁA:

Ciebie mi nojbardziej brakuje. Mioleś takie gynste włosy, jak mój łojciec. Ty byś sie w niego niy wdoł, boleś bardziej za mnom. (*milczy*) Dobrze, że jeszcze mom Alusia. Tak bych boła cołkiym sama.

MŁODA:

Jeronie, wela idzie czekać? Wiecerze niy dostanie. Jo rozumia, we sobota kajś sie iść na piwo pofaflać, bo ło czym te chopy mogom godać, jak niy ło szporcie, babach, abo inkszych gupotach? Ale dziynnne? Bez tydziyń? Jo go byda musiała ustawić do pionu! (*chodzi nerwowo*)

STARA:

Ja, ja, wyszło, jak wyszło, niy ma co ślimtać. Alusia we Kanadzie, Pawoł we Warszawie, wielgi urzyndnik, udowo, że za komuny boł świnynty. (*śmieje się*)

MŁODA:

We tyj Warszawie kupia sie jeszcze tako fajno kiecka, elegancko, na niydzienia do kościoła byda miała. Ale sie za mnom bydom łogłondać!

DOJRZAŁA:

Spać niy poradza, te nerwy pierońskie, za dużo myśla. Zgryzota za zgryzotom. Urzula sie niy nerwuje. Łona mo łogródek, idzie sie, poplewi, pograbi, róże poprzcino. A jakie łona mo piykne piwonie, jak łone woniajom! Muszimy sie kupić łogródek.

STARA:

Dobrze, że my tego łogródku niy kupiły. Ino melina by z tego boła i kupa łostudy. A fajny boł, laubka murowano, grusza, łorzech, choinki dwie. Niy chcioł za niego wiela, ino fto by na nim robiył? Przecaś niy ty.

*Młoda śpiewa „Takie ładne oczy”, Dojrzała wyciąga
lusterko (takie samo jak Młodej).*

DOJRZAŁA (*przegląda się*):

Jeszcze pomarszczono niy je, rubo tyż niy. Brakuje mi czego, co? Miałach fajne długie włosy, zresztom moga sie zaś zapuścić. We Pewexie taki krym żech widziała, niy Nivea, ino taki inkszy. Musza sie go kupić. (*odkłada lusterko*) A rano do raje po kawa.

MŁODA:

Ale mi sie jeść zachciało! Zjadłabych sie żymloka, abo oplerka. Dyć chyba jeszcze coś tam je!

*(wychodzi na lewo, światło nad łóżkiem gaśnie, zapala się
słabe światło za lewą kulisą. Stara zapala papierosa)*

DOJRZAŁA:

Dobrze, że cygarytów niy kurza – piniyndzy szkoda. Niyh łon mo, bo chopy muszom sie zakurzić, wypić sie muszą, kupa rzeczy muszą, a to co trza zrobić, to niy muszom. Niyh baby to robiom, łone som łod tego.

STARA:

We robocie toś boł podobno wielgi fachman, dobrze ło ciebie godali, niy ma co. Troje dzieci tyż żeś złonaczył. Może cie tam na wyrchu docyniom. (*milczy*) Ino świnyntego Pyjtra niy rozpij! (*śmieje się, gasi papierosa*)

*Trzask drzwi, niezrozumiałe krzyki. Po chwili wbiega
Młoda, rzuca się na łóżko, płacze.*

DOJRZAŁA:

Szkoda, żech niy ćwiczyła. Jeździłabych po festiwalach, nagrywałabych płyty. Ta cało Rodowicz – co łona mo za głos? Villas, to rozumia, cztery oktawy! (nuci „Nie ma miłości bez zazdrości”, zapala się światło nad lewym łóżkiem)

MŁODA (przez łyzy):

Na co mie prziszło, Ponboczku? Na co? Na zolyty wyparfinowany łaziyl, wygajerowany, kwiotki dowoł. Do kina my szli, restery, a jaki jo pieszczonek dostała! Wszystkie dziolchy mi synka zazdrościły, a terozki? Ściorany i nawalony po nocach łazi, do chałpy wlatuje, łostatni wuszt żeżyro! (płacze)

STARA:

Jak to boło? (*śpiewa*) „Ultrafiolety to jej zalety”. (*Młoda płacze głośniejsze, Stara jeszcze głośniejsze śpiewa*) „To jej podniety, ciche sekrety.” Co sie mażesz, gupio pipo?! (*Młoda milknie, podnosi głowę*) Coś ty myślała, no?!

MŁODA:

Byłach zakochano...

STARA:

Gupio, niy zakochano!

DOJRZAŁA:

Dej ij pokój! Takoś je terozki ważno? A pyndzyjo po chopie mosz! Kaj byś miyszkiała? We ajnci!

STARA:

Mosz recht. Alech życie sieprzył.

MŁODA:

Niy ma lekko, ale zymby zaciskom. Dziecko w drodze... Dyc niy może być tak źle...

DOJRZAŁA:

Bydzie gorzjij.

STARA:

Boło gorzjij. Bydziesz sama, a może być coś gorszego do kobyty ze chopym i dziećmi jak samotność?

DOJRZAŁA:

Pranie łobesranych galot, sprzątanie, warzynie...

STARA:

We niydziała je trocha ulgi...

DOJRZAŁA:

Ale po południu. Do południo trza łobiod zrobić, rolady usmażyć.

STARA:

Do kościoła z tobom pódzie, cołkiym inny człowiek bydzie...

DOJRZAŁA:

Aż sie do partii zapisze. Potym przestoniecie łązić. Nawet w pysk dostaniesz, żeś poszła...

STARA:

Ale ino roz, wiyncyj niy dostaniesz.

Dłuższe milczenie.

STARA:

Aż tako jednak gupioch niy boła, umiałach sie postawić.

DOJRZAŁA:

Z czasym bydziesz to miała w rzici. Ponerwujesz sie i ci przyndzie. A jak zacznie na delegacje jeździć, po dwa, trzi dni... Bydziesz szczynśliwo jak pieron.

Zapala się słabe światło z prawej kulisy.

DOJRZAŁA:

Ino mi po antryju niy łąż we szczewikach! I cicho być, bo Alusia śpi.

Młoda i Dojrzała układają się do snu, gaszą lampki, światła górne i boczne po obydwu stronach gasną powoli, aż oświetlone będzie tylko łóżko środkowe. Słychać ciche modlitwy „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Mario”, w tle utwór „Et si tu n'existais pas”.

STARA:

No, Pyjterku, kaj żeś ty je, co? (*milczy*) A wiysz, że terozki bych cie posuchała? Tyś poradził wice godać... Skond ciebie sie to brało? Jo już żodnego niy pamiyntom. (*milczy*) Co jo ci to miałach pedzieć? (*gasi lampkę, kładzie się spać*) A wiysz, terozki to jo po prowadzie żech je gdowa. Niy jakoś udowano, ino tako jak trza. No, to pacz tam jako.

Modlitwy ustają, „Et si tu n'existais pas” jest coraz głośniejsze, środkowe światło gaśnie. Kurtyna.

HUSYCKO NALYWKA

Grzegorz Sztoler

I.

*Ksioże Johan Ajzern, Ziyłyżny, piytnosty wiek. Pod zamek i miasto
we Pszczynie idom husyty – pierońskie bezbożniki z samiuśkich
Czechów. Ksioże idzie ku nim z drugi strony z wojskiym.*

NADZORNIK:

Ksioże... husyty. Jeronie, hu...sy... ty... łod Czech ciognom.

KSIOŻE JOHAN:

Klaruj mi tu chopie, ale do rzeczy.

NADZORNIK:

No, dyć padom, że husyty.

KSIOŻE JOHAN:

Co husyty?

NADZORNIK:

Ciognom tukyj, chachary, heretyki pierońskie. Palom wszystkie wsie, rabu-
ją kościoły, gwałcom baby.

KSIOŻE JOHAN:

Dyć to już wiym, tymu my z zamku wyszli z wojskiym, żeby ku Pszczynie
nie przyšli. A jak łoni przydom, to my ich piyknie klac, z drugi strony – wy-
bijmy każdego bezbożnika.

NADZORNIK:

Panie, ale łoni wlezom do miasta bez niczego. I do zomku tyż. Bojym sie, że...

KSIOŻE JOHAN:

A czego sie tu boć, synek, zamek je murowany, miasto mo wały. A toć jesz-
cze momy siła wachtyrzy, same tutejsze chopy. Domy rade...

NADZORNIK:

Ale łoni przekupili naszych wachtyrzy. Za srybrne talary majom pono hu-
sytom brama łotwzić.

KSIOŻE JOHAN:

Jesus Maryjo... Dyć tam je moja baba i dziecka.

NADZORNIK:

Ksiyżno Helyna nie do se rady samiuśka... A mieszczany też to pierniczom.

KSIOŹE JOHAN:

Zawracomy, a gibko... Nazot chopy, nazot!!!

NADZORNIK:

Doczkej ino ksioże, bo ftoś pedzioł tym pierzińskim husytom, że na nich idymy.

KSIOŹE JOHAN:

A fto?

NADZORNIK:

My tam ksioże nie zdonżymy hnet nazot przis. Husyty wlezom do zomku.

KSIOŹE JOHAN:

Ty mi tu nie fanzol, ino godej, jak wiysz, fto im to donios?

NADZORNIK:

(otwar gymba i nic nie godo)

KSIOŹE JOHAN:

No fto je szpiyg? Godej, bo cie koża przypolać! Fto im pedzioł, że na nich jadymy?!

NADZORNIK:

Tyn łysy farorz Jasiek z Żorów...

KSIOŹE JOHAN:

Tyn taki bonclok? Łon?

NADZORNIK:

No, zdo mi sie, że ja.

KSIOŹE JOHAN:

Niy mog być som, możne i kiery z panoszów mu pomogoł...

NADZORNIK:

Tyn Godziek, ksioże, kiery je przy Helynie, tymu zawsze ze ślepi źle patrzyło.

KSIOŹE JOHAN:

Dyć łon je trocha świdraty... Cóż to godosz, pieronie!

NADZORNIK:

Ksioże, jo wiem ino, że Żory husyty spolili, a ino farski łostawili w spokoju. Coś tu je nierychtyk.

KSIOŹE JOHAN:

No toż jak ino przidymy nazot ku Pszczynie, weź sie go ło to spytej, łod tego cie tu mom.

II.

*Podziymia pszczyńskiego zamczyska. Tortury. Jynki, zawodzynia, skrzypiyni
dupnego koliska, kiere łomie farorza Jaśka z Żorów, kiery był przy ksiyżnej Helynie.*

NADZORNIK KSIYŃCIA (*kiery tukyj robi za torturmajstra*):

Teraz go piyknie rozciognyyymyyy... pomaluśku... Żeby nie był taki bonc-
lok. Bydziesz teroz długi jak lynga, farorzyczku.

FARORZ JASIEK:

Ałaaaaaaaaa...

TORTURMAJSTER:

Godejcie prowda farorzyczku, a rychło.

Skrzypiyni nacionganych lin, pykanie kości, ściyngien.

FARORZ JASIEK:

Jeeeezzuusie Nazaryjski, ale jo nic nie wiem... Jo przeca nic ło niczym nie wia.

TORTURMAJSTER:

Nie wiesz? My ci przypomnymy! Chopcy, podciongnijcie tego chachora
w czarnej kecce.

Skrzypiyni, jynki, chrzynst kości.

FARORZ JASIEK:

Jeeerrrooooooniiiiieeee...

TORTURMAJSTER:

Padocie farorzyku, żeście som bez winy? Ale fto je bez winy? Dyć ino Pon
Jezus, pra? Chyba nie cygania?

FARORZ JASIEK:

Łaaaa... Ja, mocie recht nadzorniku. To je prawda. Ale co zech jo takigo zro-
bił, powiydziecie.

TORTURMAJSTER:

Zdradziłeś chowie.

FARORZ JASIEK:

Co wy godocie za gupoty? Niby kogo? Was?

TORTURMAJSTER:

Dom jo ci sie nabijać zy mie... Podciogno go chopy wyżyj?

Skrzypiyni lin, chrzynst ściyngien, ryk.

FARORZ JASIEK:

Przestońcie, pieronie, przestońcie...

TORTURMAJSTER:

Toż co?

FARORZ JASIEK:

Co kcesz wiedzieć? Do czego sie mom przyznać? Żech je grzesznik? Ja, je żech, i to farnoński.

TORTURMAJSTER (*do czyłodników*):

Chopy, kryńcie, nie przerywajcie... Suchej mie ino, ty pasibrzuchu jedyn... Husytom, tym bezbożnikom, przajesz. Skuli ciebie łoni pod Pszczyna pode-szli. Tyś im wyzdradził, że nasz ksioże kce na nich iść. Łod ciebie to wiem.

FARORZ JASIEK:

Niy, to je niyprowda. Niy...

TORTURMAJSTER:

Chopy, zrobcie fojerka i przypolcie go trocha. Hajcujcie, jeszcze, dokłodejcie tam trocha kuloków. Dziwej sie, pasibrzuchu jedyn, dziwej sie coś narobił. Ksionżence dobra złupione. Żory spolone. A w zomku w Pszczynie ksiyżno Helyna sie schowała z synkami, ale wszyndzi te pierziński husyty. Łobejrzysz, jak ino weznom i miasto, i zamek. I wszystko spolom w tej Pszczynie, genau jak w Żorach. Tyś uciyk, a inni zginyli. Jako to je? Patrz, coś narobił, klecho. Ksioże chodzi fest wnerwiony...

FARORZ JASIEK:

Herr Gott... Hilfe. Dyć ino jo żech ocaloł z tej rzezi w Żorach, ino jo... I to mo być moja winna?

TORTURMAJSTER:

Dobry pastyrz je przy łowcach, do końca!

Jynki, smród palonego ciała, trzask kości.

CZYŁODNIK:

Zemdlu. Kończymy?

TORTURMAJSTER:

Momynt. Podtopcie go, a jak wypłynie, bydzie ocalon...

III.

*Ksioże Johan wieczierzajom z ksiyżnom Helynom.
Nima nikogo, służba wyszła, idzie se pogodać.*

KSIOŻE JOHAN:

Helyna, byda musioł kochać zecionć łep takimu jednemu pieronowi, co cie mioł pilnować, a troche polebrował.

KSIYŻNO HELYNA:

Toż godej kogo.

KSIOŻE JOHAN:

Panosza Godźka, kiery je twój sługa.

KSIYŻNO HELYNA:

Łon mie łod samiuški Litwy pilnuje, broni łode złego, bo mu tak mój łojciec, wielki ksioże Dymitr Korybut, kozoł. To ni może być...

KSIOŻE JOHAN:

Padajom, że zdradzoł.

KSIYŻNO HELYNA:

Padajom to zawistniki, nima naprowda lepszego fachmana w tyj robocie. I rychtyk chop je łuczciwy.

KSIOŻE JOHAN:

Dyć pedzieli mi, że to łon polecioł do tych pierońskich heretyków, do husytów, i wyzdradził jim, co kca srobić.

KSIYŻNO HELYNA:

Scyganili, szpetnie scyganili. Dyć Godziek był sy mnom, jak przyleciały te husyty pod Żory. Innym to sie spod rziciów aże kurzyło, jak łuciekali. A tyn mój Godziek niy, stoł przy mie, jak łobiecoł mojemu łojcu. I potem pieruch wynokwił, że momy sie przeblyc. Farorz Jasiek, kiery był snami, pokozoł nom stodoła, kaj sie baby rychtowały do roboty na pańskim. Łon, nasz Godziek, łoblyk mie w jakiś babcyne kiecki, żebych nie wyglondała na ksiyżnom, ino takom babiczke. A som sie za pytoka przebroł. I wysłi my w łostatnim momyncie, zanim sie Żory spoliły. Jo jechała na koniu, z Mikusiem, łon szeł piechty. A co sie s farorzem dali dziolo, nie wiym. Gibko my drałowali bez las. Wzion tysz jeszcze jakoś szkapa na Branicy i zaroski byli my w Pszczynie. A tam, jak ino my pedzieli, co sie świyni, że husyty przidom i spolom miasto, tosz gibko sie mieszczuchy pozbroiły, na mury wskoczyły. A mie

i Mikusia, naszego synka, kozali dać do zamku, kierego by husyty nie wziyny, nawet jakby Pszczyna padła. Tosz my ino czekali, asz przidom te heretyki.

KSIOŹE JOHAN:

A to chachor, psiajucha jedyn...

KSİYŻNO HELYNA:

Cosz to chopie padosz? Co łon ci zowinił? Tyś go łożłocić byś musioł, a niy łep ścinać.

KSIOŹE JOHAN:

Niy, jo niy godoł ło Godźku, ino ło tym Nadzorniku. No ja, to łon wyzdraził... Łon szpiegowoł dło husytów. No ja, ale to nima nasz człowiek, łon do nos zza Wisły ściongoł, łod tych krakowskich cyntusi. Kombinator jedyn. Husyty teraz pod miastem stojom i nos mogom spolić.

KSİYŻNO HELYNA:

Pamiyntej, że łu tych krakowskich cyntusi królem je mój ujek Jagiełło, łu kierego zech sie wychowywała, jak umar mój łojciec. Łon mie niy do heretykom.

KSIOŹE JOHAN:

Ja, ino dej se pozor, że tu som Czechy, a twój ujek rzondzi w Krakowie. Cheba nie chce wojować z Czechami, ino z Krzyżokami?

IV.

*Łobóz husycki pod Pszczynom. Husyty porozkłodały sie kole miasta.
Kcom zdobyć miasto i spolić. Ale do nich przyjyżdżajom goście.*

HUSYTA JINDRZICH:

Fto wy?

POSŁY:

My posłujymy z Krakowa.

HUSYTA JINDRZICH:

A kaj sie tu ciśniecie, pieronie.

POSŁY:

Suchejcie ino, zanim nie bydzie za późno. Przysłoł nos ujek łod ksiyżnej pszczyński Helyny, Jagiełło, kiery jak wycie króluje w Polsce i koże wom, byście łostawili to miasto, dali pokoj, pošli se dali precz.

HUSYTA JINDRZICH:

Ale dyć Pszczyna to je czesko korona, a niy polsko... My tu rzondzimy, a niy Poloki.

POSŁY:

Pamiyntejcie, że Helyna to je nasza dziółcha. Jak ino cosik ji zrobicie, to tak jakbyżeście na złość ujkowi zrobili. Nie nerwujcie go lepi. Już Krzyżakom gnaty porachował, i wom tesz poradzi.

HUSYTA JINDRZICH:

Wolnego, chopie, wolnego. Ty nos, pieronie, nie strosz. Łobocz se wiela nos tu je, wiela koni, wozów. Styknie nom i pod Kraków podynś. Dyć piniyndzy, złota łu wos nie brakuje...

POSŁY:

To sie na wos wybiere pół Europy, heretyki jedne posmolone. Jagiełło przydzie na wos z krucjatom, po rzici wom do, jak Ulrykowi. Już Łojciec Świyn-ty z Rzymu woło, żeby na wos ruszyć.

HUSYTA JINDRZICH:

My sie kcy my bić z królem polskim. To już wyicie. Godejcie z czym żeście przyšli, bo mie ta wasza prózno godka durch szteruje.

POSŁY:

Toż padali my jusz. Król Jagiełło koże wom łodstompić zaroz łod Pszczyny. Jak to srobiecie, to wos nie bydzie gonił. Ale musicie iś dali na Madziary. Przyńdziecie bez nasze, polski królestwo, bydzie gibcy. Łodkludzimy wos. I nic nie bydziecie polić, niszczyć. Ino w pokoju pońdziecie dali. Dejcie se to pedzieć...

Husyty sie naradzajom, krzipiom, sapiom, krzonkajom jak babucie.

HUSYTA JINDRZICH:

Toż niech bydzie po waszymu. Ale ino tymu, że znomy Witka, tego wielkiego ksiyńcia z Litwy, kiery sie z Jagiełłom trocha szkubie. No ale to wielko familia je, tosz my kcy my do zgody i stym, i stamtym. Niech tak bydzie...

POSŁY:

To kiedy odstompicie łod miasta?

HUSYTA JINDRZICH:

Podziewejcie sie ino, wiela tego tu je... Zanim wszytko poskłodomy do kupy, przyńdzie tydziyń. Ale nie bydymy robić na złość ksiyżnej i pszczyniokom. Ale niech tysz dajom nom pokoj i nie nerwujom nos.

Sala tronowo, ksioże siedzom, włazi Nadzornik, jak to gorol z wielkim harmidrem.

NADZORNIK:

Ksioże, ksioże! Sucheście ino, musza wom coś gibko pedzieć...

KSIOŻE JOHAN:

Ło czym? Ło tym, że mie fto wyzdradził?

NADZORNIK (*leko wystrachany*):

Niyyyy, ksioże, ło tym, że sie nom udało. Wygrali my...

KSIOŻE JOHAN:

Chopie, godać każdy może wiera kce. Jak to w Biblii pisali, po frutach ich poznacie. Toż poczekomy, co to jeszcze za zieli z nich wylezie... Dobrze wiysz, że jo tam woła sie mieczym poszczyrkać, a niy pysk parzyć darymnom godkom.

NADZORNIK:

Padocie, ksioże?

KSIOŻE JOHAN:

Ja, bo żech sie już niyroz zawiod na ludziach i ich czynach, a o słowach nawet nie spominom... Miarkujesz, pra? Wiysz co kca pedzieć?

NADZORNIK:

Jezusie Nazaryjski, rzeknijże ksioże, w czemech cie zwiod? Dyc wdycki szelech za tobom!

Trzaskajom dźwiyrzi, wlatuje richer, panosza Godziek.

ŚWIDRATY GODZIEK:

A Nadzorniku, ty pierniku jedyn!

NADZORNIK:

Ło, panosza Godziek...

ŚWIDRATY GODZIEK:

Coś na mie pedzioł, coś scyganił chachorze saracyński?

NADZORNIK:

Jo, jo ino pedzioł to, co żech słyszoł łod innych...

KSIOŻE JOHAN:

A fto ci tesz takie farmazony pociskoł, jaśnie Nadzorniku?

NADZORNIK:

Ksioże, tak jakeście mi kozali, takech zrobił... Miołem sie spytać farorzyka ło prowda, jak to rychtyk tymu było. I musiolech sprawdzić, czy nie cygani.

KSIOŻE JOHAN:

Toż godej, coś sie dowiedział?

NADZORNIK:

Ano, łon przyznał, że je grzesznik. I że som nie wių, czymu łocaloł w tych Żorach, jak husyty wyzbijały wszytych katolików i spoliły cołki miasto. Padoł, że wolołby umrzeć.

ŚWIDRATY GODZIEK:

Toż wedle twoji godki to, że sie borok uratował, szło przeciw niymu?

NADZORNIK:

Jak ksioże kozali, poddołech go próbie wody, ale sie borok za bardzo nałykoł i chociaż wypłynoł na wiyrch, było po ptokach, bo już nie dychoł. Porzykali my ino za niego.

ŚWIDRATY GODZIEK:

Partacze pieroński, a niy torturmajstry. Łon był rychtyk niewinny.

NADZORNIK:

Tego nie wiymy. Na to nima dowodów.

KSIOŻE JOHAN:

Nima dowodu na jego wina, ale na twoja je, Nadzorniku...

NADZORNIK:

Padocie ksioże? Toż słuchom.

KSIOŻE JOHAN:

Wydradziłżeś husytom wszysko, coś wiedzioł łody mie. A wina ściępołeś na panosza Godźka, boś był zazdrosny ło fory, jaki mo łu ksiyżnej Helyny.

NADZORNIK:

Ksioże, nie dewejcie posłuchu tym pierzińskim godkom! Nic a nic tak nie było... Mozech rychtyk źle pedzioł na richtera Godźka, ale tyn boncłok, farrorzyk... Nima ludzisków bez grzychu, dyc som to pedzioł, som świadki – inne torturmajstry, moji kamraty, ło czylodnikach nie spomna, bo to jeszcze nieźdrzałe do naszej profesyi.

KSIOŻE JOHAN:

Chopie, nie cygoń mie w żywe łoczy. Nie znosz umiaru. Stroć sie, zaiwaniej do tych swoich heretyków pierzińskich i powiydz jim, żeby dali se pozor. Niech idom przedsia!

Nadzornik kłanio sie, kce jeszcze coś pedzieć, macho rynkami...

KSIOŻE JOHAN:

Bier mi sie stond i mie nie wnerwiej, husyto pieroński.

Godziek biere go za łachy i wyciepuje bez łokno.

ŚWIDRATY GODZIEK:

Nie byda se łapów mazoł, przeca i tak cie uwyndzom, abo nasi, abo wasi, kabociorzu jedyn...

VI.

Ćma sie robi. Ftoś sie skrado, idzie łod miasta, barzołami, potem czestom, tam kaj stoł tabor husytów, kierzi poszli na Madziary. To Nadzornik, kiery pito z Pszczyny, a dwóch wrzyciwłolów i kradzioków biere go za husyta.

OCHLAPUS ERICH:

Jerzik, chytej go, dyc to husyta...

KRADZIOK JERZIK:

Pieruch, łutoplec bonćismierdzik, zowiszczec padalski, zieli pierdziwoński, kcioleś nom uciyc, jako ji twoi pobratymce, pra?

OCHLAPUS ERICH:

Poczkej, poczkej, ciammciamcio heretycko, neprzód cie zwionżymy.
Szelyst powroza.

OCHLAPUS ERICH:

A teros nom powiysz...

KRADZIOK JERZIK:

Piyknie wyzdradzisz chachorku...

NADZORNIK:

Nic wom nie powia, nic.

OCHLAPUS ERICH:

Toż my ci trocha pomogymy, boroku. Twoji kamraty już sie wziyny nazot.

KRADZIOK JERZIK:

Tak sie śpiychali, że se nie spomnieli ło tym rafioku. He, he...

OCHLAPUS ERICH:

Wytuplikujesz nom dicht, jak...

NADZORNIK:

Łobejrzycie, że sy mie nic nie wyciongniecie.

KRADZIOK JERZIK:

Padolech ci Erich, że łoni som fest zażarci. Nie pedzom ci nic a nic. Klnom sie pieruchy na dusze i nic s takigo nie wyciogniesz.

OCHLAPUS ERICH:

Łobejrzysz... Rób fojerka.

KRADZIOK JERZIK:

Jeszcze fto nos łoboczy.

OCHLAPUS ERICH:

Toż bydzie se ubzdoł, że dziczyzna piekymy. Słoż tyn łogiyń, dyc my som hań konsek łod miasta. Żodyn nos tukyj nie zejrzy. A tyn heretyk może sie tu dryć wiela kce, my se domy s nim rady... My se s nim poradzimy.

Fojerka sie fajfczy, gałynzie sie durch polom, cosik skwierczy.

NADZORNIK:

Jessssuu, Jessssuuu, przestońcie, zgście to... Jeroooniiiiieeee, jo sie poooolaaaaa...

OCHLAPUS ERICH:

Husyto, to je próba łognia.

NADZORNIK:

Żodyn zy mie heretyk, jo je nadzornik łod samiuśkiego ksiyńcia!

KRADZIOK JERZIK:

Ło, patrzcie go, jaki frechowny! Nad piekielcem wisi, a fort cygani i cygani...

OCHLAPUS ERICH:

Zahajcuj mi ta pochodnia, przysmyndza łonego ździebko... Toż padej, je-
żeś husyta, pra?

NADZORNIK:

Dyc wom to jedno, co powiym. Dlo wos i tak je zech husyta. Ałłaaaa... Po-
zor, bo zrobicie sy mie wyndzonka... Dejcie mi już pokoj.

OCHLAPUS ERICH:

Niy warguj nom tu, heretyku!

NADZORNIK:

Powiym, już powiym... Jeroonie boooli... Weź tyn fojer łod moji gymby, bo
mi sie kudły hajcujom...

KRADZIOK JERZIK:

Tyś je glacok, to tam kudeł ni mosz wiela...

OCHLAPUS ERICH:

I nie drzistej dali...

NADZORNIK:

Ała, nie żgej mie tym gnypem... Ała... Ja, mocie recht, wyzdradziłech husy-
tom to, co mi ksioże pedzioł, i wiym, że łon wos na mie nasłoł, abo tyn łosz-
kliwy Godziek, żeby mie bodnońć.

OCHLAPUS ERICH:

Jerzik... słyszołś...

Kradziok Jerzik zawar gymba i sztopnoł.

NADZORNIK:

Co wos замуrowało? Ja, wyzdradziłech ksiyńcia i wiedziotech, czułych, że
żyw nie ują. Że mie koże ksioże Johan żywcem usmyndzić, to durch do nie-
go podane. Tymu go Ziyłyżnym przezywajom, żyłyżny łokrutnik.

OCHLAPUS ERICH:

Jerzik, co łon beblo?

KRADZIOK JERZIK:

Tysz mom stracha.

OCHLAPUS ERICH:

Przecóż my niy łod ksiyńcia.

NADZORNIK:

A skond żeście som?

OCHLAPUS ERICH:

My som stela, a coź ci do tego, husycki wieprzku? Powiysz nom, zanim cie
diobli weznom, jak robicie ta husycko nalywka, coście jom łostali na tym ra-
fioku i po kiera żeś sie wrócił?

KRADZIOK JERZIK:

Ha, dopadli my cia. Toż godej, boś przyszeł po próznicy. My już wszystko wy-
rombali. Praw hutko, czekomy... Toż jako robicie ta nalywka?

NADZORNIK:

Nie wiym, nie wiym, a nawet jakbych wiedzioł, to wom nic nie rzykna, miej-
ski kmiotki.

OCHLAPUS ERICH:

Kmiotki? Toż my ci wyerklerujemy ta receptura, drziku husycki... Jerzik,
przyhajcuj ino barzi, niech mu bydzie rychtyk gorko.

Larmo niy stej ziyymi.

OCHLAPUS ERICH:

Jerzik, pieronie, cheba żeś go za fest przypolił. Nic nom już nie powiy...

KRADZIOK JERZIK:

Bydźże cicho, kogoś widza. Zaś husyta, dziynka Bogu. Zaroz bydzie nasz.

OCHLAPUS ERICH:

Jerzik, to już pionty w tym tygodniu, i durch nie wiymy, co łoni tam wkłoda-
jom do tyj nalywki...

KRADZIOK JERZIK:

Łobejrzisz, tyn nom to wszytko wyzdradzi, ino hajcuj jak ci koża, a nie wy-
stawiej łognia do luftu. I pamiyntej, za jednom husyckom dusycke mosz dzie-
siyńc lot rozpustu... Ja, dobrześ słyszoł. Tak pedzioł farorz Jasiek, co go te
husyty peklowały na fojerce... Nie słyszołeś?

KONIYC

Krystian Gałuszka

(jednoaktówka po ślōnsku)

MIEJSCE: Lauba przed ślōnskim familokiym z modry cegły – idzie pedzieć, że licōwka kobaltowo.

PERSONY:

ALFONS

KARLIK

LYJO

STANIK

ECHO

ALFONS:

Witej Karlik. Kaj lecisiz?

KARLIK:

Cześć Alfons. No wiysz, moja czeko. Fajer mōmy.

ALFONS:

Ale to dopiyrō po połedniu, niy? A teraz, z tego co wiym, je przed połedniym.

KARLIK:

Jo to wiym, ale ôna je już cało nerwyjs.

ALFONS:

No przestōń, na mały szpil zawsze je czos. Już mōm figury poukłodane, pó-dzie drapko. A co do twōji, to ôna przeca cołki czos je tako, choby palce wci-sła do sztekra. Pamiyntosz jak twoja frela niy chciała cie puścić na trzecie po-wstanie? I schowała ci szczewiki? Wtedy ty żeś przilecioł boso? Cosik z hekсы to ôna zawsze miała.

KARLIK:

Co prowda, to prowda. Kobiyta z ni zawsze była choby ciga ôd tanti Cili. Ino bardzi gryfno.

ALFONS:

No dyć! Ino tera je bardzi jak ta ciga.

KARLIK:

Co tu godać. Prowda godosz. Jo już tyż niy je jak Rudolf Valentino.

ALFONS:

Niy chca być starym pierdołom, ale ty żeś Valentino nigdy niy bōł.

KARLIK:

Bestōż godom „jak”, no bo jo je Karlik. Co do powstania, to dzisioj ci moga pedzieć prowda. Lipsta nie schowała mi wtedy szczewikōw. Mało tego, to ôna wyciepla mi na powstanie. Jo przilecioł boso, bo moje charboły mi sie rozleciały, a innych zech niy miol.

ALFONS:

Niy godej.

KARLIK:

Tak było.

ALFONS:

Ty pierōnie jeden. Taki czos babom żeś sie zastawioł. Tym bardzi niy fanzol, że terozki niy mogesz zagrać skuli Erny.

KARLIK:

Dobra. Ale ino jedyn mały szpil. Jo biera biole.

ALFONS:

Mosz mieć, byle zaczynymy ôtwarcym katalōńskim.

KARLIK:

A wiysz, że wymyślił je Polok, co sie mianowoł Tartakower?

ALFONS:

Ôo kurde, a jo myśloł, że to bōł Austryjok.

LYJO:

Cześć chopy, w co grocie?

KARLIK:

W szkata.

LYJO:

Niy rōb mie za gupieloka, przeca widza, że w szachy.

KARLIK:

To co sie gupie pytosz?

LYJO:

Jo sie ino kulturalnie pytōm, żeby jakoś zacząć godka. Ale ty zawsze stynkosz. Jo sie jeszcze niy ôdezwia, a ty już labiydzisz. Nic ci sie nigdy niy podobo.

KARLIK:

Mie sie wszysko podobo, ino gupie fulanie mie nerwuje. Ale u wos w rodzi nie to normalne.

LYJO:

Ty sie moi familiji niy chytej. Bo kejby niy moja szwester Hilda, tobyś piero nie w lagrze skończył.

KARLIK:

Lyjo, jo do ciebie nic niy mom. To, żeś bōł w Selbstschutzu, to mie ino trocha szteruje, bo kogoś my musieli po gymbie prać, jak my po hołdach lotali. Ale skuli twoji szwester za Hitlera wyciepli nos z domku, kery żech dostał za powstanie, i całko moja familija poszła na baraki kole kierchowa na Otylii. A mie wywiyżli do bauera. Zaś twoja szwester z tym swoim wielkim Nymcym wprowadziła sie do naszy chałpy.

LYJO:

No widzisz. Tyś sie pojechał do bauera na świeży luft, a nos brali na ostfront. Tyś przeżył. A moja szwester i jej chop już niy mieli takigo szczyńcia jak ty. Zostali spolyni w Dreźnie. Zresztōm domek dostałżeś nazod.

KARLIK:

Jo ino godom, że niy zrobiła tego darmo.

LYJO:

Niy wiy. Ty tak jak Stanik, durś szukosz dziury w całym, wajosz i wajosz. A przez to niy widzisz, że ci Alfons laufrym zbijo wieża.

ALFONS:

Ty Lyjo lepi byś był cicho. A co do Stanika, to ôn już niy bydzie buczōł, chyba że u Ponbōczka.

LYJO:

Co ty godosz? Stanik niy żyje?!

ALFONS:

No, bydzie już ze dwa miesiōnce.

LYJO:

Niy może być. Jo go ôstatnio widzioł na meczu Slavii, jak my wygrali sztyry zero.

ALFONS:

Sztyry jedyn. I niy my wygrali, ino ôni, i było to trzi miesionce nazod.

KARLIK:

Patrzcie chopy, naszych bierom.

ALFONS:

Co ty fanzolisz Karlik? Naszych brali ôd poczõntku. Jak my byli bajtle. A potym w powstaniu. I dali na grubie... A mojego laufra łostõw. Co ty, niy doś, że mosz skleroza, to z ôczami problyma?

KARLIK:

Jo pamyńć mom dobro. Z ôczami to u mie niy je nojlepi. Zresztõm kto tymu laufrowi łeb na bioło pomalowol? Ale pamiyntom wszystko. Niy ino powstania. Bo to, że do nieba wtedy poszło dwa tałzyny powstańcõw, to jo jeszcze moga spokopić. My tyż niejednego karlusa tam wysłali. Ale że Hitler druge dwa tałzyny wyrõmboł, i to dwadzieścia rokõw po tym, to już niy do końca łapia.

ALFONS:

No niy lyj sie żurym. Jak w trzidziestym dziewiõntym wszyske Poloki pitli – wystawiyli powstańcõw do luftu. Przeca ôni musieli stanõń i dać sie wyrõmbać.

LYJO:

No dyc. Wryywali aż sie kurzyło. Wojewoda, jego beamtry, wojsko, policyjo. Nawet kurwy. Ale niy ino Hitler rõmboł. Wiele to ludziõw za Grażyńskiego siedziało w hereszcie? Zresztõm sõm Korfanty jak na tym wyloz? Wycyckali go, wypluli i szlus. A po wojnie? Niy było lepi. Wiele wywiyźli za Ural i kery z naszych chopõw nazad prziszol? A wiele padło w lagrach? I za co? Ô tych, co do Rajchu wyciepli i ze zgryzoty tam pomarli, to nawet niy byda godol. Ślõnzoki jak te piõnki na szachownicy. Każdy ustawio nos jak kce. I kasuje jak kce. A my jak te ciuliki.

KARLIK:

Już wiyw czymu mi ôko skoko, jak cie widza Lyjo. I jak cie suchom. Ô Staniku jak zech pedzioł, toh nic konkretnego niy mioł na myśli.

ALFONS:

Szach. Karlik, ty lepi grej. Co wom powiyw, to wom powiyw, boroki jedne. Jak sie niy ôbrõcicie, to z zadku bydziecie mieli rzić do kopanio. Bo cołki czos bydziecie albo folksdojczy, albo waser Poloki i szlus. Czamu sie chichrosz?

KARLIK:

A bo jakby tak richtich policzyć. Wszyskich. Tych, kere sie wytukli przed plebiscytm. Potym tych w powstaniach. I za Hitlera. I za Stalina. I tych, kerych

sprzedół Gerek. I jeszcze tych, co pitli za Jaruzelskiego. I jeszcze ôstatnio, co poszli w Europa, toby sam nos musiało niy być.

KARLIK:

No ja, to momy szczyńście, że my tu jeszcze sôm.

ALFONS:

A kaj my sôm?

KARLIK:

No tukej.

ALFONS:

Aaa, tukej. Ja. Gryfnie je. Nic nos niy boli. Trowa je zielono. A niebo take richtich modre. No i klara tako klar. Kurzimy fajka. Pijmy tyj z czoskiym. I gromy sie w szachy. Albo ôglôndomy fusbal w telewizyi. Czasym wnuki ôd sia poślôm mobilnokiym esemesa i zaroz gorko sie na sercu robi. Niy może być nic gryfniejszego ôd tego, co tu momy... A co do powstań, to po prowadzie trza pedzieć, że na samym poczontku niy ô to szło, co nom wylazło, ale to może lepsze ôd tego, jakby nôm wylazło. Tak czy tak raduja sie.

KARLIK:

To dobrze, bo mosz mata. Szach-mat! I co, dali ci tak wesoło?

ALFONS:

Dali.

STANIK:

Karlik, może bestôz ci tak wesoło, że twoja Erna tu idzie, a ji chyba niy je wesoło.

KARLIK:

Stanik, pieronie jeden, ty żyjesz?

STANIK:

Lyjo, powiedz mu, coby mie niy wnerwiół. Ôn mo tako skleroza, że niy wiym wiela razy byda mu tuplikowoł, że dwa dodać dwa je sztyry. Jak my tu som na Ślonsku, to znaczy, że my tu som, bo jak niy, toby my byli wszyscy w niebie, a przeca widać, że my tu som. Niy?

ECHO:

No, chyba żeście som w niebie, a na dole same poprzeblykane łązôm.

PANNA MARIA 1944

(tysionc dziewiynćset štyrdziyści štyry)

Roman Gatys

PIYRWSZO BINA

Kolynijo Panna Maria Teksas USA. Chałpa familije Czynsimiech. Matula Hyjdla, łod ni synek Džon. Izba w chałpie. Stoł na micie. Štyry stołki, łokno, talyrze i bysztek na stole, naszykowane na łobiod. Pod ścianom stoi szybónek i wertiko. Na stołku siedzi matula Hyjdla i pucuje jedyn talyrz. Do izby włazi Džon.

DŽON:

Piyknie wos witom, matula.

HYJDLA:

Jo ciebie tysz, synek.

DŽON:

Zech trefiył Helmuta i łon mi padoł, co we cajtongu stoło, co cza iść na wojnka we Ojropie. A my przeca stamtond som. Pra matula? Bo Oberschlesien, jak rzondzi Helmut abo Szlonsk, jak wy godocie, to je we Ojropie pra?

HYJDLA:

Ja, ja, Džon, Szlonsk je w Ojropie i moj starzik sie tam rodziył we Kotorzu Srogim kole Turawy. Za bajtla przypłynoł sam na szifie ze swojom familijom i farorzym Leopoldym Moczigiymbom. A łod starzika familijo przilazła na Szlonsk do Kotorza Srogiego s Czynstochowy. Piyrwy sam u nos blank lekko niy boło, to wiysz łod starzika.

DŽON:

Ja, ja, dyc wiym. Jo chca wom cosik innego pedzieć. My sie s Helmutym ugodali, co my do ty Ojropy na ta wojoczka pudymy.

HYJDLA:

Jezderkusie, Džon, co ty godosz. Mało zeście sie prali s Indianeroma, a teroski pudziecie sie prać do Ojropy. A w Ojropie możno dostaniecie srogie lyjty. Kipniecie tam, łoba! Cza ci to, synek? Cza? Coby śmiertka niy wziona twojego fatra, tobyś dzisiej nikaj niy szeł i gupio niy łonacył. I byś plitow mi niy godoł. Ponbocek chce inaciy i teroski i ciebie mi śmiertka zebiere.

DŻON:

Matula, niy rob mi gańby. Co Helmut by pedzioł, jakby jo z nim niy poszeł. A Ponbocka do rajzy niy miyszejcie, bo łon jes z nami. Zy mnom i Helmutym! My jusz byli we San Antonio na muszterongu i we prziszłym tydniu bierom nos za wojokow i płynymy szifym do Ojropy. Tyn łoficyjer, co tam boł, nom pedzioł, co dostanymy uniformy, gywery i długie sztifle, a do nich gutalin i cza bydzie dziyń w dziyń gutalinym te sztifle pucować. Bydymy mieć s Helmutym richtich szpas. Jeszcze nom pedzioł, co na podzim bydymy nazod. To bydzie piykno rajza i bysuchnymy nosz hajmat Szlonsk! We cajtongu pisało, co ponoś we Ojropie som same wysztiglowane frele, piykanie łoblecone, same sztojfjyry.

HYJDLA:

Jeronie, jeronie, synek, sam cza majs zbiyrać, a niy prać sie durch und durch. Tyś niy je przeca bajtel, ino srogi chop. A twój hajmat je przeca sam, we Pannie Maryi. I przestoń fandzolić ło sztojfjyrach.

DŻON:

Matula, jo jes ugodany s Helmutym i schlus. A majs niych zbiyro Tony. To łon tukej wszystko erbnie. To niy som moje klamory. Wiycie przeca. Tony do wom wycug, a niy jo.

HYJDLA:

Jo jusz nic niy godom. Cza ci do Ojropy rajzować, to ić fort.

DŻON:

Jo matula niy ida fort. My sie s Helmutym porajzujymy i posmykomy trocha i bydymy niydługo nazot. Łobejrzycie! A powiydzcie mi matula, kaj jo mom rajzować po Szlonsku, kaj my momy familijo?

HYJDLA:

Piyrywj my miyszkali we Czynstochowie, niyskorzi we Kotorzu Srogim, a teroski we Pannie Maryi we Teksasie. Bydziesz na Szlonsku, to abo rajzuj do Czynstochowy, abo rajzuj do Kotorza Srogiego. My momy tam sicher familijo.

DŻON:

A jeszcze matula powiydzcie mi, czymu daliście mi miano Dżon, a mojemu bracikowi Tony? A niy jak piyrywj sie w cołki łosadzie piykne szlonskie miana dowoło? Kukni na Helmuta, łon mo gryfne miano, a moje miano jes Dżon.

HYJDLA:

Bo tukej synek jes Amerika, a niy Szlonsk, skuli tego cza mieć tukejsze miano!

DŽON:

Jo niy wiyw matula, jo niy wiyw. Terozki Helmut bydzie w Ojropie i koždy bydzie godoł: Witej Helmut, tyś je s Ojropy. Helmut sie bydzie durch asić. A co mie pedzom? Džon, a tyś je skond? Co to je za miano Džon, bo sicher niy s Ojropy, tyś je jakiś podciep, pra? Helmutowi bydzie sie w Ojropie da-
rzić, a mie co?

HYJDLA (*trocha schichrano*):

Niy fulej, synek, niy fulej, tego sie niy do suchać. To niy jedź s Helmutym do Ojropy i szlus. Žodyn cie niy bydzie skuli miana napasztwoł, jak cie tam niy łobejrzom.

DŽON:

Ja, ja, dobrze wom sie chichrać matula, ino wasze miano je Hyjdla, a niy Džosefin, Katie abo Emily. I fto mo recht, matula? Dyc jo, a niy wy!

HYJDLA:

Dej jusz pokoj, Džon. Zaros jes łobiod. Zjysz?

DŽON:

Toć co zjym.

HYJDLA:

Ić na plac po starzika, weś ta kłoszczonka i wlyj gadzinie i přićcie zaros, bo dowom zupa na stoł. Ino drapko, bo bydzie zimno. A na drugie bydom klu-
ski z miynsym.

DŽON:

A kaj jes starzik?

HYJDLA:

Siedzi na rycce kole chlywa.

DŽON:

Zaś?

HYJDLA:

Ja, zaś!

Džon wylazi s izby s kłoszczonkom w gorcku w rynce i idzie do gadziny i po starzika.

DRUGO BINA

Dżon Czysimiech i Helmut Korus płynom na wiyrchniyj dili na szifie US Navy „SS United Victory”. Godajom s Captainym Madoffym, a potym z polskimi wojokami Jarkiyem i Włodkiym.

DŻON:

Helmut, suchej, dajom nom kunie i kolty s patronami i bydymy rajtować i sie szczilać jak s Indianerami we Teksasie? Abo niy?

HELMUT:

Weś motek i klupni sie w gowa, Dżon. Toć w Ojropie niy ma Indianerof i kał-bojof, ino wojoki s Rajchu, s kierymi bydymy sie prac.

DŻON:

No ja, żol, co niy bydzie kuniof! Pra, Helmut? Można nos weznom do kawaleryje, to bydom i kunie.

HELMUT:

Na szifie niy ma kuniof, ino tanki i automobile. Dżon, kuniof niy bydzie. Jo jes sicher!

DŻON:

Helmut, mosz stracha, co nos śmierotka chyci?

HELMUT:

Niy fandzol, Dżon. Jo zech sie proł s Meksykanerami i innymi pieronami i zech niy miol stracha, to teros tysz sie dom rada s wojokami s Rajchu. Żodny laksyry niy bydzie.

DŻON:

Ja, ja, Helmut, każdy tak godo, ino jak bydzie laksyra, to fto ci galoty wypucuje? Matuli sam niy ma, ani twoi lipsty.

Dżon sie chichro.

HELMUT:

Dej pokoj, Dżon, bo cie gichna. Jak mie bydziesz napasztować, to ci sie ta rajza niy wydarzi i ta śmierotka zaroski cie chyci.

DŻON:

Niy nerwuj sie, to jes naskwol... A powiyc mi Helmut, co ta twoja gywera tako poryrano? Moja je blank nowo, a twoja to je jakiś klamor.

HELMUT:

Zech ci pedzioł, dej pokoj. Bo ci nazdom, Dżon. Bo jak chcesz dali łonaczyć, to bajsni mie w rzić, i to fest!

Łoba nic niy godajom...

HELMUT (*trocha niyskorzi pado*):

Suchej, dali nom cygaryty, to sie zakurzymy, co?

DŻON:

To dowej, bo zech dugo jusz niy kurzył. Bo wiysz, co u nos we Pannie Maryi cygaryty były na borg we geszefcie łód Pełki, bo niy było geltu. A teros kukni, cołko szachtelka. Dobrze być wojokiym, pra? A niy dowali cygarytów na ibrich, Helmut?

HELMUT:

Niy, momy te wykurzyć, a nowo szachtelka dostanymy, jak slezymy ze szifa. Na cygaryta, Dżon.

Dżon biere cygaryta łód Helmuta i łoba kurzom. Podłazi do nich Captain Madoff.

CAPTAIN MADOFF:

You lads are Polish, right? (Wyście som Poloki, ja? Wy jesteście Polakami, prawda?)

DŻON:

Yes, sir! We're from Poland! (Jawohl Herr Hauptmann, my som s Polski! Tak jest panie kapitanie, my jesteśmy z Polski!)

CAPTAIN MADOFF:

There are some Poles at the bow of the ship. If you want, you can go talk to them. (Na dziobie szifa som Poloki, jakbyście chcieli, to lyżcie s nimi pogodać. Na dziobie statku są Polacy, jak chcecie, to możecie z nimi porozmawiać).

DŻON:

Sir, yes sir! (Jawohl Herr Hauptmann. Tak jest panie kapitanie).

DŻON:

Helmut, captain pado, co na dziobie szifa som Poloki i mogliymy sie s nimi pogodać.

HELMUT:

No słyszolech, ino mie sie niy chce nikaj szpacerować, chyba byda rzigać, bo kolybie tym szifym. Dej mi pokoj. Jo nikaj niy ida.

DŻON:

To ida som na dziób do Polokof.

HELMUT:

Ja, ić.

DŻON (*idzie na dziób i podłazi do poru wojokof Polokof*):

Moj łoficyjer pado, co wyście som Poloki, a jo tysz je Polok, ino s Teksasu. My bydymy sie prać w Ojropie s wojokami s Rajchu, pra chopy? A tyn szif

kolybie, pra? Moj kamrat Helmut pado, co bydzie rzigać. Ja, ja, dyc to cza szczimać chopy. Pra?

Jarek i Wladek suchajom, co godo Dżon.

JAREK:

Wladek, tutaj stoi jakiś żołnierz i coś szwargocze! Tylko ja nie wiem o czym. Może go zapytasz po angielsku, o co mu chodzi?

WŁADEK:

„Ja, ja” to u nas w Poznaniu mówi gaulajter, ale już niedługo, bo my go przepędzimy, i to w trymiga. Prawda, Jaruś?

JAREK:

Na sto procent, i to jeszcze w tym roku!

Wladek i Jarek sie chichrajom.

WŁADEK:

Ma amerykański mundurek, ale chyba to jest Czechosłowak. Bo po rosyjsku to nie jest na pewno. Jarek, jak mylisz?

JAREK:

Chyba masz rację. To musi być albo Czech, albo Słowak.

Obaj wybuchają śmiechem.

DŻON:

Ponbocku, co wy sam łosprawiocie, chopy. Jo nicego s waszyj godki niy pochopił. Wyście niy som prawdziwe Poloki! Jo to musza pedzieć mojemu captainowi.

Dżon fyrtnoł sie na giyrze i idzie nazot do Helmuta.

DŻON:

Suchej Helmut, captain sie bachnoł. To niy były prawdziwe Poloki, ino jakieś wichłace. Jo to musza pedzieć captainowi, jak go trefia!

HELMUT:

Możno sie captain bachnoł. Łon je Amerykon, to sie na Polokach niy zno. A rzondziyles z niymi?

DŻON:

Dyc zech z nimi godoł, ino nic zech niy zmiarkowoł. Padom ci, to je unmyglic, to były cygony, a niy Poloki!

HELMUT:

Możno były, abo i niy? Mie tam niy boło.

DŻON:

Suchej, Helmut, jo sie teroski tak miarkuja, co u mie we familiji godało sie po szlonsku. Matula godała, że my som Poloki, to czymu my godali po szlonsku, a niy jak Poloki? U ciebie, Helmut, godało sie po szlonsku abo auf dojcz. Klu-dziyli nos do amerykański szkoły we San Antonio, coby my sie po angielsku ucyli, a we Sant Hedwig we szkole ucyli my sie auf dojcz. Bo cza tom god-kom tysz godać, godała moja starka. Bestosz my godomy po szlonsku, ame-rykańsku i auf dojcz. Fto my, Helmut, richtich som? A jak to boły Poloki i jo sie s nimi niy umia dogodać?

HELMUT:

Jo jes sicher, Dżon, co my som ino Szlonzoki i tyła. Bestosz niy trop sie. God-kow mogiesz umieć moc, a Szlonzokiym jeszcze ino ros. Jutro my som jusz w Ojropie i łobejrzymy prawdziwych Szlonzokof, a niy żodnych wichłacy. Jo jes sicher!

CZECIO BINA

Dżon Czynsimiech i Helmut Korus i inne wojoki s Ameriki pierom sie ło plaża f Normandy s wojokami s Rajchu. Po praniu ło plaża som tam tysz Captain Madoff, Unteroficyjer Pyjter Korus i Gefrajter Paulek Sosinka i inne wojoki s Rajchu.

DŻON:

Na zola, Helmut, na zola! Bo zaros bydziesz u śmiertki robiył za modego pona. Patrony furgajom! To je larmo! Wojoki s Rajchu szczylajom s ciynszkich ge-werof. To legnymy sie sam konsek we tyj przikopie, można bydzie zaros szlus.

HELMUT:

Jo by niy boł sicher, Dżon, co bydzie zaros szlus! Jo takie rombanie pierw-szy ros słysza.

Dżon i Helmut legli sie we przikopie i kukajom na wyrch we niebo.

HELMUT:

Kukni na wyrch, Dżon. Dunkle mrokwie idom, bydzie łoło, a tam kobuch furgu. Kobuch chopie je na szczynście. Moja starka tak padała.

DŻON:

Ja, Helmut, jo wiym, co nasze starki padały. Mosz recht, richtich gryfny kobuch. *Skuli kobucha szczilanie zaros stanoło. Dżon i Helmut pomału wylażom s przikopy i kukajom, co je łoł. Podłazi do nich Captain Madoff.*

CAPTAIN MADOFF (*mówi do Dżona*):

Soldier, I've heard you speak German? (Wojoku, zech słyszoł, co wy godocie po niemiecku? Żołnierzu, słyszałem, że wy mówicie po niemiecku?)

DŻON:

That is correct, sir, I speak German. My friend here, Helmut, also does. (Jawohl Herr Hauptmann, jo godom po niemiecku. Tysz moj kamrat Helmut godo po niemiecku. Tak jest panie kapitanie, ja mówię po niemiecku. Również mój kolega Helmut mówi po niemiecku).

CAPTAIN MADOFF:

Very well. Gather round the Germans then and get their personal information. (To je gut. Biercie i sbiercie wojokof s Rajchu i szrajbnijcie fto łone som. To bardzo dobrze. Weźcie i zbierzcie Niemców i spiszcie ich dane osobowe).

DŻON:

Right away, sir. (Jawohl Herr Hauptmann. Tak jest panie kapitanie).

DŻON:

Helmut, captain pedzioł, co my godomy abo rzondzimy po niemiecku i be-stosz momy szrajbnoń wojokof s Rajchu. Gynał fto łone som, miano, jak sie mianują, kaj rodzone i dinstgrad.

HELMUT:

To poć weznymy papior i filoki i we dżipie sie siednymy i tam bydymy chyconych szrajbować. Niyeh stanom do raje.

Wojoki s Rajchu stanoly do raje, Dżon godo ze piyrwszym chyconym wojokiyem.

DŻON:

Dinstgrad, Name, Vorname, Geburtsort.

PYJTER KORUS:

Unteroficjyr Pyjter Korus geboren in Kotorz Srogi Oberschlesien.

Dżon szrajbuje, ale zaroski przestowo.

DŻON (*godo do wojoka*):

Ponbocku, co wyście pedzieli? Wyście som s Kotorza Srogiego na Szlonsku? A wy godocie? Wy sie mianujecie Korus? Toć chopie, ty sie mianujesz jak Helmut. Toć można wyście som familijo łod Helmuta?

PYJTER KORUS:

Łod jakiego Helmuta? Jako familijo? Jo je aus Oberschlesien! Łoczym ty chopie łosprawiosz?

DŻON (*uradowany rycy do Helmuta*):

Helmut, sam jes twoja familijo. Poć sam gibko.

HELMUT:

Co ty zaś Dżon fandzolisz, zaś robisz naskwol, ja?

DŻON:

Dyć niy, Helmut. Tyn chop, co sam zicnoł, to je Pyjter Korus s Kotorza Srogiiego na Szlonsku. A ty sie przeca tysz mianujesz Korus i twoja familijo jes s Kotorza Srogiego, pra?

Helmut przilazi i pado do Pyjtra Korusa.

HELMUT:

Je to prowda, co łon sam łonacy? Wyście som Korus, jak jo?

PYJTER KORUS:

Ja, to je prowda, co łon godo. Jo sie mianuja Pyjter Korus i zech sie rodziył we Kotorzu Srogim! Można jo je twój ujek?

HELMUT:

Jo tysz sie mianuja Korus. Matula mi godała, co my momy familijo we Kotorzu Srogim i można richtich wyście som moja familijo? Moj kamrat Dżon sie mianuje Czynsimiech, niy mocie sam tysz jakiegoś Czynsimiecha?

PYJTER KORUS:

Czynsimiecha niy, ino sam je moj kamrat ze wsi, Paulek Sosinka!

Pyjter Korus rycy do Paulka Sosinki.

Paulek, poč tukej, sam som nasze kamraty i moja familijo!

PAULEK SOSINKA:

Co ty tam rzondzisz Pyjter, fto kole ciebie jes?

PYJTER KORUS:

Dyć ci godom, poč sam gibko.

Paulek Sosinka podłazi do Dżona i Helmuta.

PYJTER KORUS:

Suchej, Paulek, to jes unmyjglic, to jes Dżon Czynsimiech i Helmut Korus, a som wiysz, co u nos jes moc Czynsimiechow we Kotorzu.

PAULEK SOSINKA:

Ja, ja, je moc.

HELMUT (*godo uradowany do Pyjtra Korusa*):

Ty mosz richtich gryfny tyn uniform, Pyjter. A wiewa mosz tych medalikof. No bydzie ze poł fonta, pra?

PYJTER KORUS:

No chowie, jo sie piera za Vaterland jusz piynć rokof, bestosz i pora medalikof zech dostoł.

DŻON (*godo uradowany do Helmuta*):

Helmut, ino my śleźli s szifa na zola, zaros my trefili prawdziwych Polokof.
Łoros przilażi do nich Captain Madoff.

CAPTAIN MADOFF:

What is going on here? What are you doing with these Germans? Are you nuts? (Co je tukej los? Co wy robicie sam s tymi chopami s Rajchu? Pizło wom na dekiel? Co się tutaj dzieje? Co wy wyprawiacie z tymi Niemcami? Zwariowaliście?)

DŻON:

Sir, I have to report they're no Germans, these are real Poles! (Herr Hauptmann, melduja, co to niy som chopy s Rajchu, to som prawdziwe Poloki! Pannie kapitanie, melduję, że to nie są żadni Niemcy, to są prawdziwi Polacy!)

DŻON (*godo do Helmuta po szlonsku*):

Helmut, godej captainowi, co to niy som chopy s Reichu, ino to som prawdziwe Poloki!

SZLUS – KONIEC

Przełonaczył na angielsko godka Wojciech Gatys

WESELE

Roman Kocur

*Jako jedne przedstawienie
abo piyrso ze trzech czynści napisanego przedstawienia
pt. „KORFANTY – ślonski Polok”*

WYSTYMPUJOM:

MATKA – Karolina Korfanty
OJCIEC – Józef Korfanty
KSIONDZ – farorz Reinhold Schrimmeisen
KONSTANTY – Konstanty Wolny, przyjociel Wojciecha Korfantego

Jest wtorek, 30 czerwca 1903 roku.

Wielko izba w doma u ojców Wojciecha Korfantego.

W izbie tyj jest łokno po prawy stronie i na nim biołe gardiny, a na śródku stoi wielki stół i pora stołków z oparciym dookoła. Pod jednom ze ścian stoi szislong, ale taki lepszy. A pod drugom ścianom jest mały glassbifyj, ze szklonymi drzwiczkami, za kerymi stojom keliszki do gorzołki i do wina. Na tym bifyjku stoi na podstawkach pora zdjynć czorno-biołych. Na stole jest położony bioły, heklowany obrus.

Z izby na prosto som otwarte drzwi do antryja.

Ojciec siedzi przy stole i nalywo sie som herbata ze dzbonka do szklonki i poleku jom pije. Matka krzonto sie trocha w antryju, trocha w izbie.

OJCIEC:

Siedni sie, Karolinko. Już niy nerwuj sie tym weselym. Jutro już bydzie po wszystkim.

MATKA:

Oj, Zefliczku, niy byda siadać. Mono pojady my tyż po połedniu do Szprotów? Do Bytomio niy jest tak daleko. Yno jeszcze dzisiej tyń farorz sam mo do nos przyść. Ale po co łon aże z Bytomio sam przyjedzie? Łon je z parafie

Elżbiety, to co łon to chce od nos, skoro już jutro wesele. Przeca nigdy ksiondz do żodnego do doma niy przichodzi, yno koże do sia przyść na fara.

OJCIEC:

Po co, po co... Chyba mo nom coś do pedzynio przed tym weselym. Widzisz, Karolinko. Nasz Wojtek jest teraz ważno osoba. Niy dość, że studja mo zrobione, to jeszcze go Poloki poważajom. Niy yno tukej. I w Poznaniu tyż przeca. A teraz, jak jeszcze dostał sie do Berlina do Reichstagu – to już całkim może sie mieć za pana niy gorszego łod Niymców.

Ojciec pije herbata.

OJCIEC:

A pamiyntosz, jak mu brakło pijyndzy na studja, to i bez dwa lata uczoł inksze dzieci, coby potym za te zarobione pijondze dali sie uczyć w Berlinie. Chwała Bogu, że już niy siedzi we wynziyniu. Była trocha gańba, jako go do herestu wsadzili. I to yno skuli ty godki o Bismarcku.

MATKA:

Ach, przestoń, przestoń! Jako gańba? Że łon sie pisze Polokym i sie podowo za Poloka? To teraz już niy gańba. A przeca o Bismarcku to prawda. Chce sam z nos, Poloków, zrobić Niymców. I Niymce myślom, że yno łoni mogom wszystko, a Poloki nic. Teraz to, że dostał sie do tego Reichstagu, to sie trocha go bojom. Ale i tak majom go tam za Poloka. Przez to krziwo na niego patrzom. Tak mi pedzioł, jak przijechoł pora dni tymu z tego Berlina.

OJCIEC:

No, mosz recht, że niy spodziywali my sie, że Wojciech taki bydzie, Karolinko. Ale teraz kto, jak niy łon może godać za Poloków? Patrz, czekomy na tego ksiyndza Reinholda i czekomy, a go jak niy ma, tak niy ma.

MATKA:

Doczkej. Na pewno przidzie. Przeca z Bytomio musi trocha jechać. Skoro we jego parafii miyszko Elżbiyta, kerom sie Wojciech chce wzionć, to chyba bydzie cosik ło tym weselu prawioł.

OJCIEC:

No, chyba ja. Kule bele, wesele momy na gowie, a muszyny tu tela na ksiyndza czekać. Mosz wszystko porobione już na jutro?

MATKA:

Mom, Józefku, i dlo sia, i do ciebie. Wybiglowane wszystko i w izbetce na wyrchu poskładane.

Słychać klupanie do drzwi.

OJCIEC:

No, chyba to łon już prziszło.

Łotwiyrajom sie drzwi (te w antryju) i za chwila wchodzi do izby Ksiondz.

KSIONDZ (*sebylko kapelka ze gowy*):

Niyh bydzie pochwolony...

OJCIEC (*stowo ze stołka*):

Na wieki wieków. Cóż to ksiyndza Reinholda do nas sprowadzo? Przeca my niy należymy do waszy parafie. A i Bytom niy jest tak blisko, żeby do nos specjalnie przijyżdżać. A przeca jutro te wesele i my przijadymy do was, do Bytomio. Siednijcie sie sam, przy stole.

KSIONDZ (*siado*):

No, skuli tego wesela żech sam u was jest. (*dychnoł sie*) Weselo niy bydzie.

MATKA (*bardzo zdziwiono*):

Jak to weselo niy bydzie, jak wszystko już gotowe. Jutro jest 1 lipca i na tyn dziyń momy przeca pozałatwiane wszystko w kościele i u was.

Matka stoi kole Ksiyndza i zdziwiono paczy na niego.

MATKA:

Jak to weselo niy bydzie? Po jakymu?

OJCIEC:

A czymu to ksiondz tak godocie?

KSIONDZ (*chyto Matka za rynka*):

Bo prziszło pismo łod kardynała z Breslau, żeby niy dować ślubu waszemu Wojciechowi. Niy zgodzioł sie biskup na tyn ślub. A richtich to niy Wojciecha, ale Alberta. Bo tak przeca sie łon pisze. Albert, a niy Wojciech. Tak jest bez Kościoł napisane na parafie w ksiyndze!

MATKA (*z nerwami*):

Pisane jest tak, bo wyście zażondali niymieckiego imiynia na chrzczinach. A my go nazywomy Wojciech i tak bydzie. (*a potym fest zmartwiono*) Niyh ksiondz niy robi nom taki gańby! Czamu to ślubu niy chcecie mu dać? Jo tego niy moga spokopić!

KSIONDZ:

Słyszeliście już pora nidziel tymu, jaki list kozoł kardynał łodczytać sam, w kożdym kościele na kozaniu. A teroz mi nakozoł, żebych nie dowoł Wojciechowi ślubu, aż on niy przeprosi i kardynała w Breslau, i wszystkich ksiyndzy, o kerych godoł takie rzeczy, że mo grzych wielki.

OJCIEC:

A jaki to mo grzych? Że broni Poloków i chce, żeby Ślonsk boł polski?

OJCIEC (*stanął bliży i godo do Ksiyndza*):

Nic niy dało pisanie i godanie na naszego synka bez niymiecki Kościół. Przeca on yno prowda godo, że wy gnymbicie Poloków i kożecie im yno godać po niymiecku. I dzieckom we szkole, i nom wszystkim i w kościele, i wszyndzie. I dować niymieckie imiynia. A my przeca som Poloki i godomy w doma po ślonsku. I bydymy godać.

MATKA (*lamyntuje*):

O, Maryjko moja!

MATKA (*zwraco sie do męża, Józefa*):

To co to teraz bydzie? Józefie! To weselo niy bydzie?

OJCIEC:

No to niy bydymy nic robić. Yno trza zaroz powiadomić Wojciecha, że tak sie z tym weselým porobiły. A mono łon już tyż wie?

Ojciec chodzi nerwowo po izbie, a Matka siadła sie na stolku, przedtym odsuwajonc go daleko od stoła. Pochyliła sie na stolku i zgarbiono pyto Ksiyndza.

MATKA:

To co teraz bydzie? Powiydzie farorzu, to co tera bydymy robić?

KSIONDZ:

Co bydzie... Nic niy bydzie. Żodnego ślubu ani żodnego wesela.

MATKA:

Ale przeca ludzie już pozaproszani...

KSIONDZ:

Mom pismo łod kardynała i musza je wom sam dać i zostawić.

KSIONDZ (*siyngo pod sutana i wyciongo spod sutany koperta z pieczontkom z laku*):

Sam mocie. Niy otwarto. Jo dostałech tako samo, bezto wom godom, co tam je. List jest łod kardynała Georga Knoppa.

Matka i Ojciec bierom koperta i łotwiyrajom jom, łomionc pieczynć lakowo.

OJCIEC:

To tyn som biskup, co kozoł na kozaniu tak na Wojciecha najyżdżać?

OJCIEC (*patrzy na list*):

Napisane po niymiecku.

KSIONDZ:

A po jakiymu mo być?

OJCIEC:

Karolinko, czytaj ty.

Matka czyto poleku. Ojciec z nerwami patrzy na Ksiyndza.

MATKA:

Ja. To prawda. Żodyn ksiondz niy mo dać ślubu naszemu Wojciechowi. A jak kery go do, to czeko go wielko kara łod kardynała. Sam mosz tyn list. Trzeba nom chyba zaroz jechać do Szprotów, do Elżbiyty i pedzieć im ło tym. No i zawiadomić Wojciecha.

OJCIEC (*patrzy na list i chowo go do koperty*):

Ale to nom zrobiliście fajny gyszynk. Niy szło to wcześni pedzieć, że tak to bydzie? Że tak szykujecie sie na naszego Wojciecha?

KSIONDZ:

Nic zech wcześni niy wiedzioł o tym. Wczoraj na wieczór mi przyniysli te listy. Som zech jest przelynkniony, bo jak niy zrobia tak, jak chce kardynał, to mie pozbydom fary i wygoniom. Józefie, słuchajcie. Jo niy moga tego ślubu dać.

OJCIEC:

No ja, Wojciech mioł iść do syminarium. I Kościół dowoł przeca na jego szkoły, ale łon ksiyndzym być niy chcioł i bezto teraz niymiecki Kościół sie mu łodpłaco. A jeszcze te jego godanie na niymieckich ksiyndzów i na Bismarcka... (*nerwowo*) To wszystko tyż jeszcze bezto, że Bismarck robi sam tyn pieroński Kulturkampf i my som jako Poloki gnymbiyni na każdym kroku. I my momy być yno do roboty, a yno Nymcy som pany.

KSIONDZ:

Niy godejcie, że my som yno winni. Wasz Wojciech przeca jest durch przeciw Nymcom i zawsze to wszyndzie godo. Jak sie uczoł kole Berlina i potym w Breslau i jak teraz jest w Reichstagu, to cały czos jest przeciw Nymcom, a przeca i tukej sie urodzioł, i teraz tukej miyszko. A sam som Prusy, a niy Polska.

OJCIEC:

Jak jo chodzioł za bajtla do szkoły pruskiyj, to uczyli nos po polsku, a teraz niy wolno. A czymu teraz niy wolno? Czymu? Jo wom powiy: bo Bismarck zabronioł! Przeca niy może być tak, żebyście wy, Nymce, zawsze mieli nos za gorszych ludzi. Zawsze i wszyndzie. Sami farorzu wyicie, jak to jest i w robocie, i w urzyndach. A jeszcze i Kościół sie tyż do tego fest dokłodo.

KSIONDZ:

Tela ludzi jest Polokami i żyją tukej i żodnymu tak niy zależy na tym, żeby być pod Polskom i godać wszyndzie po polsku. Bydziecie widzieć, Józefie, że jeszcze tyn wasz Wojciech sie nacyrpi za ta Polsko...

OJCIEC:

Niy wiadomo jak bydzie, to niy godejcie naprzód. Teroz sie chcioł łożynić, ale widać, że wy mu nigdy niy pozwolicie. Jak to z Kościołym jest? Przeca my som tyż katoliki. I zapowiedzi normalne były. I zapłacili my wszystko jak trzeba było.

I niy czekajonc na łodpowydz, nalywo do szklonki herbata i podowo ksiyndzu.

KSIONDZ:

Ja, widzicie, bołbych zapomniół. Przinios zech wom pijondze, kere daliście na ślub. Biskup tyż mi to kozoł zrobić, żeby niy było potym żodnych kłachów, że ksiondz pijondze wzion, a ślubu niy doł. Wiync jak to bydzie z tym, żeby Wojciech przeprosiół ksiyndzy?

OJCIEC:

On na pewno niy bydzie przeproszoł. Ani wos, ani biskupa, ani kardynała, ani żodnego ksiyndza, ani nikogo, kto na Poloków najyżdzo i niy pozwoło nom ani po polsku godać. I niy pozwolicie nom ani czytać polskich gazet. A jak kto sie przizno na spowiedzi, że czyto polsko gazeta, to tyż rozgrzeszynio niy dostanie. Tak wy robicie!

*Ojciec stowo i idzie ku glassszrankowi, kaj po łotwarciu
drzwiczek na dole wyciongo pora gazet.*

OJCIEC:

Tu jest polsko gazeta. Po polsku. „Górnoślonzok” od naszego Wojciecha i „Katolik” łod Karola Miarki. To co? Czy to oznaczo, że my niy som dobrymi katolikami, bo czytomy gazeta katolicko po polsku? Czy bezto momy wielki grzych?

Ojciec dowo gazety na stół.

KSIONDZ (znerwowany):

Jak niy przeprosi, to niy bydzie weselo.

OJCIEC (ostro):

Niy przeprosi. Niy łon! Chce, żeby tukej była Polsko i żeby szło po polsku godać i żeby Poloki niy byli yno do roboty. I bydzie durch sie wstowiół wszyndzie za niymi. I Polska tukej bydzie. A niy yno Prusy. Już roz miół przeproszać, jak boł we średni szkole i zaprzeć sie Poloków. I tyż wom sie niy udało.

KSIONDZ:

I boł wtedy za to wyciepninynty ze szkoły. Za dużo łon chce. Tak szybko to niy bydzie. Niy mcy przeca sam som i bydom.

OJCIEC:

Ja, na razie sam som, ale czy bydom na zawsze?

KSIONDZ:

Bydom, bo to my tu pobudowali gruby i huty. To jest nasze. To kaj to mo być? W Polsce? Bydzie w Prusach! Tak jak jest teraz!

OJCIEC:

Dyć i w kościele yno po niymiecku nom, Polokom, kożecie rzykać. Ja, wy byście chcieli tak, że my momy cicho siedzieć i robić yno na Niy mca.

KSIONDZ:

A czymu to wasze jeszcze dwa syny niy trzymiom z Wojciechym? Ani Andrzej, ani Jan. Łoni sie do polityki niy cisnom.

OJCIEC:

Niy wszyscy mogom być jednacy.

Naroz wszyscy nic niy godali i zapadło cisza.

OJCIEC (*po jakimś czasie, bardzo łagodnie do Ksiyndza*):

To jak to terazki bydzie, żeby łon mógł wzionć tyn ślub kościelny?

KSIONDZ:

Godolech już wom, że kardynał chce, żeby Wojciech przeprosił ksiyndzy za to, że boł i jest przeciw nim i przeciw Niy mcom.

KSIONDZ (*do żony Józefa*):

Może wy przekonacie Wojciecha, żeby poprzeproszoł kaj trzeba i jak trzeba?

MATKA:

Jo niy mom co przekonywać ani Józefa, ani Wojciecha. Łoni sami wiedzom, co majom pedzieć i jak postompić.

OJCIEC:

No, godolech już, że Wojciech niy bydzie przeproszoł.

KSIONDZ:

Widza, że sie nie dogodomy. Jo swoje godom, a wy swoje. No to jo już ida. Jeszcze musza iść do farorza z waszy parafii i mu tyż to pedzieć. (*do siebie*): Że tyż łon sie musioł wzionć dziółcha z moji parafii. Teraz mom yno starani na gowie.

KSIONDZ:

No to z Panym Bogym.

OJCIEC I MATKA:

Z Panym Bogym.

Ksiondz wychodzi z doma.

OJCIEC:

No i co powiesz Karolinko na to wszystko?

MATKA:

Jo już mom wszyskiego dość.

OJCIEC:

Kaj to teraz jest nasz Wojciech? Jutro miało być wesele, a łon jeszcze chyba siedzi w jakimś urzyndzie. Abo bydzie w Zobrze, abo w Katowicach. Zawsze tyż mo w swoim biurze coś do roboty.

Teroz otwierajom sie drzwi z antryju (w głymbi kuchni) i wchodzi Konstanty.

KONSTANTY:

Witom was. Jada do moji kancelarii z Gliwic. A tyż żech zajechał do Bytomio, do Szprotów. Strasznie rozpacho ich Elżbiyta, bo przeca weselo mo niy być. Powiycie, czy to jest prawda? Richtich weselo niy bydzie? Tam do nich bezmajś prziszoł farorz i pedzioł im ło tym i doł list jakiś łod kardynała.

OJCIEC:

Bezmajs niy bydzie. Boł sam tyż ich farorz i nom przinios list łod tego kardynała, coby ślubu Wojciechowi niy dować.

KONSTANTY:

Wiync to richtich prawda... Jo wom coś powiym. Jak wiycie, mom kancelario adwokacko w Gliwicach, jako piyrwszy polski adwokat. My sie w ty moji koncelarii czynsto zbiyromy, a Wojciech, jak jest w Zobrze, to do mie tam tyż przyjyżdzo. No i jednego razu prziszoł Wojciech i pedzioł, że może tak być, że niymiecki Kościół może mu niy dać ślubu.

OJCIEC:

Jak to sie spodziywol?

KONSTANTY:

Pedzioł mi, że jak boł ostatnio w Berlinie, w Reichstagu, to po swoim przemówieniu jedyn z ty ich niymiecki partyji „Cyntrum” pogroził mu, że Wojciech jest w Prusach zakałom i że jak niy przistompi do nich, do niymieckich katolików, to bydzie musioł na sie uważać, bo coś może mu sie przitrefić niydobrego.

OJCIEC:

A nom nic Wojciech niy godoł. On yno zawsze, że wszystko jest dobrze.

KONSTANTY:

Bo on niy chce was nerwować.

MATKA:

No i co ci Wojciech jeszcze godoł?

KONSTANTY:

No że łoni, jak dowiedzieli sie, że Wojciech mo wzionć za pora tydni ślub kościelny, to od razu pedzioł mu jedyn taki, że w Niymcach ślubu niy dostanie.

MATKA (*do Ojca*):

Widzisz, do czego to wszystko sie kiyruje. Jeszcze i nos Kościół bydzie przeklinoł.

KONSTANTY:

Niy godejcie tak, pani Karolino. Oni tak zrobili specjalnie, żeby was pognymbić. Bo ta decyzjo dotknie i was, i waszo rodzina, i tyż tych gości na wesele, i bydzie to wela kosztowało, bo trzeba wszystko teroz połodmawiać.

OJCIEC:

Jeszcze my o tym niy pomyśleli.

KONSTANTY:

Wojciech, jak mu pedzieli w tym Berlinie, że ślubu może niy dostać, to zaczon sie dopytować, jak tyn ślub wzionć. No i znalaz sposób na tyn ślub i teroz już wiy, co majom z Elżbiytom zrobić.

MATKA:

No to co majom robić? Kardynał przeca zabronioł wszystkim ksiyndzom dać mu ślubu, i chce, żeby ich wszystkich Wojciech poprzeproszoł.

KONSTANTY:

Wojciech mi pedzioł, że jest taki jedyn sposób. W Krakowie jest taki kardynał, austro-wyngierski, kery nazywo sie Jan Puzyna. I łon zgodzi sie dać mu ślub, jak inksze ksiyndze z Krakowa tyż sie zgodzom. A tam, w Krakowie, teroz miyszko jego dobry kolega – Romek Dmowski sie nazywo. Znomy sie wszyscy z Ligi Narodów. I łon już bezmajś boł u tego kardynała i pedzioł mu, o co chodzi.

OJCIEC:

No to łon tam wynokwioł?

KONSTANTY:

Bo tam, u Habsburgów, jest taki przepis, że styknie yno tam być i miyszkać co najmni sześć tydni i potym można brać ślub. Yno zaś trzeba bydzie dać na zapowiedzi, no i czekać. Ale to i tak sie do zrobić.

MATKA:

To łoni bydom musieli być w Krakowie? A co potem? Czy przijadom sam nazod?

OJCIEC:

Niy pytej sie, co bydzie dali. Samo sie to wszystko poukłodo.

MATKA:

Ale kaj Kraków, a kaj nasz Ślonsk!

KONSTANTY:

Wrócom, wrócom. Tam, we Krakowie, nikerzy patrzom na Wojciecha jak na jake dziwo, że łon ze Ślonska, a jest Polokiem. Tak samo patrzyli na nos we Warszawie, jak my byli tam piyńć lot tymu na odsłoniynciu pomnika Mickiewicza. Tyż nos mieli za dziwoków, że ze Ślonska, a Poloki i niy godomy po niymiecku. A we Krakowie dużo ksiyndzy jest za Polskom i Polokami na Ślonsku i som oni nom bardzo radzi. Pojedziecie wy tyż do Krakowa. Nojszybci weseli mo być na październik jeszcze tego roku.

OJCIEC:

Jo je ciekawy, co powiy biskup niymiecki, jak sie dowiy, że ksiondz krakowski bydzie przeciwko Niyomcom. A przeca to jedna wiara.

KONSTANTY:

On niy jest przeciwko Niyomcom, yno niy jest przeciw Korfantymu. No to jo już jada do Glywic. Pozdrowcie Wojciecha, jak przidzie.

MATKA:

Ja, powiymy mu, żeś sam boł.

Konstanty wychodzi.

OJCIEC:

Karolinko, oblykej sie i zaroż razym pojady do Bytomia, do Szprotów, żeby pogodać z nimi, co to dali bydymy robić.

Matka na gowa zawionzuje chustka i oblyko leki mantel.

Ojciec oblyko szaket i biere hut na gowa.

MATKA:

Co to jeszcze bydzie z tego, że chcymy do Polski, że nasz Wojciech jest taki za tom Polskom. Czy Polsko mu sie dobrze za to odwdziynczy?

Ojciec i Matka poleku obuawajom inksze szczewiki i wychodzom, zamykajonc drzwi.

KONIEC

ZWYCIYSTWO

Roman Kocur

*Jako jedne przedstawienie
abo drugo ze trzech czynści napisanego przedstawienia
pt. „KORFANTY – ślonski Polok”*

WYSTYMPUJOM:

- RYMER – Józef Rymer, Nastympca Wojciecha Korfantego, Przewodniczoncy Narodowyj Rady Ludowyj w Katowicach
- ZGRZEBNIOK – por. Alfons Zgrzebniok. Za III Powstanie był szefym personalnym Naczelnym Komendy Wojsk Powstańczych. Robił tyż w Komisariacie Plebiscytowym
- KEMPKA – Paweł Kempka, prawnik Naczelnym Rady Ludowyj. Robił razem ze Józefym Rymerym
- KORFANTY – Wojciech Korfanty

*Po lewy stronie wielkie drzwi, prosto na nos wielkie biurko, nad kerym
wiszom dwie skrzyżowane szable w ozdobnych pochwach.
Na biurku telefon i przibory do pisanio i wielkie pióro z gynsi do ozdoby.
Som tyż jakieś taszki z pismami i dokumyntacje.
Za biurkym wielki fotel.
Po prawy stronie – stół i pora lepszych stołków z oparciym.
Na stole rozłożono jest wielko mapa, kero wystowo poza stół.
Rymer siedzi na fotelu, a reszta stoi wele jego biurka.*

RYMER:

Witom was wszystkich sam, w Katowicach, kaj jest teroz nasze miyjsce. Dzisiej jest czwartek, 13 października 1921 roku. Wczoraj była narada Miyndzysojusznicyj Komisji Rzonczoncyj i Plebiscytowyj na Górnym Ślonsku. Zawołał żech sam was, bo mom ważny dokumynt od Komisji Plebiscytowyj i zaroz wam go pokoża. Wczoraj łoni sie zebrali i już na richtich ustalili nowe

granice sam, na naszym Śląsku. Powiym wom, że jak żech yno te dokumyny obejrzoł, to żech boł rod tymu, co tam nam zapisali. Ale obejrzcie sami.

Rymer stowo z fotela, podchodzi do stoła i pokazuje na leżonco tam mapa.

Rymer, Zgrzebnioł i Kempka podeszli do stołu i wszyscy patrzą sie na mapę.

RYMER:

Zoboczcie. Sam mom ta nowo mapę. Narysowane na ni jest, kaj siyngoł Plebiscyt i jak zrobili nowe granice po trzecim Powstaniu. Po prawy stronie jest to, co dali do Polski, a po lewy – co dali Niemcom.

RYMER:

Wiyecie, że cołki teryn Plebiscytu boł naprowda wielki. Ale yno bezto, że my sami dopuścili, żeby Niemcy przywiyżli swoich ze Zachodu, to my przegrali. Patrzcie yno (*Rymer pokazuje wskaźnikym po mapie*) – jak wiyecie Plebiscyt obejmował ziemie: na północy aż za Kluczborkym, a na połedniu aż do Zebrzydowic kole Cieszyńa i kole Bielska. Na zachodzie zaś do Opola, a sam, na wschodzie Śląska, kole Katowic – aż do Oświęcimia i do Brynicy.

KEMPKA:

Ale muszymy chcieć, coby Katowice i tak były polskie.

Obojyntnie, jakby niy wyznaczyl nowy granicy.

ZGRZEBNIOK:

Ale czy coś nom pomogło te trzecie Powstanie? Czy wiedzom o tym, że my bydymy o swoje dali wojować, jak niy bydzie nom dość przidzielone? Bo jakby niy te trzecie Powstanie, to już by było prawie wszystko pochytane bez Niemców. A tak to ta Komisjo Plebiscytowo od Niemców zażondała, żeby ustomili. Bo sami przeca chyba wiedzom, że jakby niy, to bydzie dali powstanie albo zrobimy jeszcze jedne.

RYMER:

Chopy! Poleku! Sam już jest wszystko pokozane. Niy tropcie sie, co bydzie, bo to wszystko już jest.

RYMER (*idzie do biurka i bierze do ręki dokumyny i pokazuje*):

To, co wom teraz godom, to jest zapisane sam, w tych dokumyntach. I jo wom pokoża, co bydzie nasze, a co bydzie niemieckie. Yno słuchajcie i niy przerywajcie mi. Wiyem, że somście ciekawi, ale zaraz wszystko bydziecie wiedzieli.

Rymer bardzo ucieszony prawie loto wele stoła.

RYMER:

Patrzcie yno, nasze teraz już som: Ruda Śląska, Chorzów, Tarnowskie Góry, Piekary i Rybnik – aż do za Pszów i aż do Olzy!

Zgrzebnioł pochylo sie nad tom mapom.

ZGRZEBNIOK:

To prawie niemożliwe, że sie to udało. Richtich nom dali wiynncy niż przed-
tym. Niż po Plebiscycie!

KEMPKA:

No yno szkoda, że Bytom zostoł po pruski stronie. No i Zobrze tyż.

ZGRZEBNIOK (*ze smutkym*):

I moje miyjsce pod Koźłym kole Kyndzierzyna zostało po niymiecki stronie...

RYMER:

Ciekawe, co powiedzom ci, kerzy niy wierzyli, że my coś zyskomy na tym trze-
cim Powstaniu, i bez dalszych bojów i bitwy. Stykły przeca już te, kere już my
mieli wygrane. I ostało sie dali yno na pertraktacjach, a niy jak inksi chcieli,
żeby dali wojować z Nymcami.

ZGRZEBNIOK:

No i ginonć niypotrzebnie. A przeca teraz bydom potrzebni sam ludzie mon-
drzy i oficerzy. Jo niy wiem, co by było, jakby my tych buntowników Powsta-
nio w czyrwcu niy chycili. Łoni już byli blisko tego, żeby Korfantego łobalić
i dali robić Powstanie. I niy wiadomo do kedy.

KEMPKA:

Ja, najbardzi na Korfantego byli źli ci, kerzy chcieli walczyć dali i iść jeszcze
bardzi na zachód. Jedyn z nich nawet chcioł sie podować za Naczelnego Wo-
dza Powstanio.

ZGRZEBNIOK:

Jakby my ich niy chycili, toby była yno jeszcze wiynkszo wojna. A Nymce
przeca już swoje normalne wojsko kierowali z Nymiec na Ślonsk. Z takim
wojskym my by niy mieli żodnych szans, żeby wygrać. Yno by nos pozabijali
i nic by nom już niy dali wiynncy. Bo skoro Plebiscyt nom nic niy dowoł i Pol-
sko niy bardzo chciała swoje wojska ku nom posłać, żeby nos wzmocnić, to
nic by my niy mieli. Ani tela co przedtym.

Rymer cały czos radośnie patrzy na mapę i cieszy się.

*Zgrzebniok i Kempka pokazują rękami na mapie i między sobą serdecznie
godajom, co jakiś czas wykrzykując nazwy miast i miasteczek.*

KEMPKA:

Patrz, i aż za Rybnik! I Wodzisław i Jastrzymbie...

ZGRZEBNIOK:

Ale Kluczbork i tak zostoł w Prusach. I całke tamte okolice.

KEMPKA:

Ale Lubliniec i Tarnowskie Góry nasze. Dyc' to prawie jedna trzecia terynu, kaj boł Plebiscyt – jest nasze!

KEMPKA:

No to sie Korfanty ucieszy.

RYMER:

Niy wiym kaj tyn Korfanty sie podziywo. Przijechoł już trzi dni tymu z Warszawy sam do nos na pora dni. I mioł dzisioj sam do mie przisć. Bo teroz, jak mi przekozoł przewodniczynie naszej Rady Ludowyj, to przeca wiym, że wszystkie dokumynty przichodzą sam, do mie. Ale i na pewno łon tyż już wiym ło tym wszystkim.

KEMPKA:

Jak pedzioł, że przidzie, to przidzie. A wela to jest na zygarze?

RYMER:

Czi ćwierci na trzecio. Mioł być o drugi, to zaraz sam bydzie.

Naroz otwiyrajom sie drzwi i wchodzi Korfanty.

KORFANTY:

No, pany moje. Witom was! Mocie jakie nowe wieści? Dostaliście już odpowiedzi od Komisji Plebiscytowej i wszystko już wiycie, niy?

RYMER, ZGRZEBNIOK I KEMPKA (*radośnie*):

Wojciechu! Dostali my wiyncy, niż nom przedtym zapisali! Zwyciynstwo! Wygrali my! Momy nowe granice i nowo mapa!

Wszyscy naroz zaczęli godać, tak że Korfanty sie chycioł za gowa.

KORFANTY:

Poleku! Poleku! Jako mapa mocie? Skond? Jo nic niy wiym.

RYMER:

Pódź, patrz. Sam jest nowo mapa. Dzisioj prziniyśli jom razym z dokumyntami z Komisji Plebiscytowej.

Korfanty idzie do mapy i spoglondo.

KORFANTY:

A mie mapy niy przisłali, yno dokumynty z napisanymi granicami. Ale brało mi czasu na porysowanie i poznaczenie. Chciolech sam do was przilecieć drapko. (*głymboko sie łoddychnoł*) No... jakoś nom dopisali wiyncy, niż my myśleli. Widza, że som miasta, kere już my mieli jako swoje, a jednak nom ich niy dali. Ale i tak momy wiyncy niż zaraz po Plebiscycie. No to te trzeci Powstani nom sie opłaciło.

KEMPKA:

Panie Korfanty, miołeś recht, żeby wyncy już dali w tym powstaniu niy iść i niy wojować, yno zaczonć pertraktować z Niymcami, Anglikami i Francuzami. Wiele wyncy by my niy zyskali, a wiele by naszych poginyło?

KORFANTY:

Ja, to prowda. Bo jo zech sie to tak wyforsztelował, żeby potym pónść na godka z nimi, a niy iść dali w powstanie. Ale, jak wyicie, byli tacy, co jednak chcieli iść dali i niy godać z Niymcami. Ale Niymcy przeca już szykowali swoje normalne wojsko do wojny i my by niy mieli żodnych szans na wojna z wojskym niymieckim! Łoni widzieli przeca, że ich Selbstschutz niy dowoł sie rady z naszymi powstańcami. To myślicie, że tak by nos puścili na swoja ziymia?

KEMPKA:

Byli tacy, co chcieli bardzo wojować. Żodyn z nich nie wierzoł w to, że coś sie uzysko przy pertraktacjach. Ale mono to bezto, że myśleli, że bydzie tak jak na Orawie i Spiszu – ludzie pisali sie za Polskom, a i tak te teryny przilonczyli do Czechów.

ZGRZEBNIOK:

Bo ci z Warszawy kozali im przyjechać tukej. Yno że łoni zaczli nom bruździć. Majom yno szczyńście, że skończyło sie Powstanie. Bo już mieli mieć sond polowy.

KORFANTY:

Ale to polski rzond kozoł skończyć Powstanie. Ciyńzko ich tam zrozumieć w ty Warszawie, co oni chcieli. Powstanio niy chcieli, ale teraz bydom radzi. Jo teraz byda we Warszawie, to dowiym sie, kto to boł za nami, a kto niy.

RYMER:

Ale ty, Wojciechu, bydziesz teraz przy Witosie?

KORFANTY:

Ja. Byda przy Witosie. Jednak yno on jest tam cosik wert w ty Warszawie, i jest za nami. Ale tam niy jest tak leko być Polokym ze Ślonska. Koždy yno patrzy na mie jak na Niymca. Ale jo sie poradza!

KEMPKA:

Uważej na nich, bo łoni yno by sie chcieli bić, powstania robić i wojnyki.

ZGRZEBNIOK:

Majom i tak na ciebie nerwy, jakżeś chcioł przeciwko niym posłać wojska w maju zeszłego roku. A teraz jeszcze bydom ci bruździć tam we Warszawie.

KORFANTY:

Na razie nic mi niy mogom zrobić, a jak byda posłym na Sejm, to przeca dajom mi spokój, tak jak Niymcy, jak żech boł w Reichstagu posłym. Yno mi grozili na każdym kroku.

RYMER:

Bo to tako moda u Poloków, że Polok musi zginonć. Czasem za siebie, a czasem za kogoś. Przeca ani Francuzy, ani Angliki nigdy sie niy polom do bitwy. Łoni yno jak już niy majom wyjścio, to sie pierom z inkszymi. A tak to yno chcom godać, pertraktować, spotkania, posiedzynia, mecyje jakeś...

KORFANTY:

Ale tyż czasym trzeba pokoząć, że sie niy bojymy. Yno trzeba wiedzieć, kedy skończyć te bitwy, a potym idzie sie siednonć i godać i pertraktować z nimi w spokoju i ło pokoju. Ale mosz recht. Poloki sie myślom, że oni som najważnijsi na świecie, a jak przidzie co do czego, to okazuje sie, że ani niy som przigotowani, ani uzbrojyni, ani mądrzy. I zaś lyjty dostanom łod inkszych.

ZGRZEBNIOK:

My sam som za Polskom, ale czy nom to wyńdzie na dobre? Czy Polsko nom sie dobrze odwdziynczy? Przeca to, co my sam teraz dlo nich zyskali, to jest niy yno jedna gruba i huta. Jakby to policzyć, to chyba nom przypisali ich wiyncy, niż majom Niymcy!

KORFANTY:

To, że momy dzisioj taki dokumynt, to jest dobrze, ale to jeszcze niy koniec. Bo jak wycie, jeszcze musi sie zebrać Rada Ambasadorów i zatwierdzić te dokumynty, co napisała i rozdzieliła miyndzy Polskom i Niymcami Komisjo Plebiscytowo.

KEMPKA:

To kiedy sie to mo już tak richtich zakończyć?

Rymer idzie do biurka i szuka w dokumyntach, kere dostoł.

RYMER:

Sam pisze, że 20 października ta Rada mo sie zebrać. I wtedy może to zatwierdzom.

KORFANTY:

No to czekejmy do tego 20 października. Ale to już chyba niy bydzie z tym żodnych komedyji.

KEMPKA:

A pan, panie Korfanty, niy bydzie miał nic przeciw takiemu podziałowi? Niy zrobimy jeszcze jednego Powstanie, żeby dostać wiynncy? Skończymy już teraz sie bić z Niymcami?

KORFANTY:

Przecza my dostali i tak wiynncy. Momy teraz wiynkszo czynść przemysłu, to dejmy sie piyrw z tym rada. Polsko na pewno bydzie nom wdziynczno, bo tela majontku, wiela teraz dostanom, to już nigdy im żodyn za darmo niy do.

ZGRZEBNIOK:

No i żodyn łód nich niy musioł wojować za bardzo za tym, żeby tela dostać.

KORFANTY:

I jo mom nadzieja, że przyjmnom nos z otwartymi rynkami, że my taki majontek im prziniesymy. Byda pilnowoł, żeby nos docynili za to, że my tela im dali.

RYMER:

Ale jak to jest zawsze: minie trocha czasu i zapomnom nom to, co my teraz im wywalczyli. Potym inksze pany od nich bydom sie sam rzondzić, a nami bydom pomiatać.

KORFANTY:

I tego tyż sie boja. Bo we Warszawie sie robi już poleku rozmaite ruchy w rzondzie i we Sejmie i kto wiy, czy Polsko bydzie dobrze tym naszym Ślonskiym rzondziła. Piłsudski yno koże sie zbroić.

ZGRZEBNIOK:

Teraz oni bydom zawsze naprzeciw ciebie, Wojciechu. I Piłsudski tyż mo na ciebie oko.

KORFANTY:

Ale każdy mondry teraz powiy, zech miał recht, żeby doprowadzić do rozejmu i skończyć te Powstanie. Widzicie, że i bez wojny można przy pertraktacjach dobrze na tym wyjść. *(depcze wele stoła i biurka i godo dali)* Ja, pokoząć trzeba, że sie umi bronić i walczyć o swoje. Ale potym już szlus! Jak Niymcce chcieli sie dogodać, to czymu mieli my sie nie zgodzić na pertraktacje?

RYMER:

To co? Czekomy do tego dwudziestego? To jeszcze yno tydziyń i bydymy już wszystko wiedzieli. Niy moga sie doczkać, kiedy bydzie ogłoszone już na richtich.

KEMPKA:

A Niymcy tak bez niczego nom to wszystko dali?

KORFANTY:

Wygroźali sie, że wszystkie gruby zatopiom i spolom huty, kere nam sie dostanom. Ale chyba niy bydom swojego niszczyli? Muszyny ich poleku do nos przekonywać, żeby w zgodzie z nimi być. Teroz bydzie nos czekało dużo roboty z tym wszystkim, żeby poznać i granice, i te gruby, i huty poprzemawać od Nymców. Ale oni i tak bydom dali właścicielami.

ZGRZEBNIOK:

Teroz bydzie to wszystko trwało, nim my to wszystko poszykujemy. Myśla, że i rok nom to zetrwo.

RYMER:

Po to my som tukej, żeby to teraz wszystko dobrze zrobić.

KORFANTY:

Jo myśla, że trza zrobić manifestacjo. Mono za tydziń, jak już sie dowiemy na zicher, że co nasze, to nasze. *(idzie do stoła z mapom i bierze mapę do góry)* Cieszymy sie wszyscy, że momy sam nareszcie naszo Polsko. Zrobiemy ta manifestacjo, ale mie na ty manifestacji niy bydzie. Wy za to pokozcie naszym ślonskim Polokom, że teraz muszyny my być gospodorzami na tyj naszymy ziemi i niy dać sie dali Nymcom. Otwirajcie szkoły i nych sie ślonsko-ki uczom, żeby nigdy już niy być gupimi i pod Nymcami.

RYMER:

Wojciechu, mosz to pewne. A ty w ty Warszawie dbaj o nos i niy zapomnij.

KORFANTY:

Teroz wszystko od nos zależy. Dzisiej momy nasze zwyczajństwo. Dlo nos to jest geltag za robota bez te wszystkie lata, za to, co my robili i zrobili dlo Ślonska i dlo tych ludzi, kerzy sam miyszkajom.

RYMER:

A teraz zaproszom was wszystkich na obiad do restauracyji, żeby uczcić te wydarzynie, kere jest tak bardzo dlo nos ważne. Chodźcie, bydymy przy obiedzie dali godać i o Powstaniu, i o Polsce, i o Warszawie, i o naszym kochanym Ślonsku.

Wszyscy zbierajom sie kole drzwi i wychodzom z biura.

KONIEC

LAZARET

Roman Kocur

*Jako jedne przedstawienie
abo trzecio ze trzech czynści napisanego przedstawienia
pt. „KORFANTY – ślonski Polok”*

WYSTYMPUJOM:

- ELŻBIYTA – Elżbieta Korfanty, żona Wojciecha Korfantego
JAN – Jan Korfanty, brat Wojciecha Korfantego
DOCHTOR – dr med. Bolesław Szarecki, lekarz Wojciecha Korfantego
KORFANTY – Wojciech Korfanty

*Izba w szpitalu. Na środku łóżko z chorym, z obu stron przysłonięte
gardinom, kero jest chycono na metalowych żabkach na kółkach.*

Korfanty leży w pozycji wysoko podniesiony na zygówku.

Przy jednym rynecie mo podłonczono kroplówka, a szklono bańka

z kroplówkom wisi na żylaznyj rurze. Jest przykryty od pasa na dół.

*Kole łóżka z jednej strony jest szpitalny nachtiszel i mały zydel z żylaza
z drewnianym siedziniym, a po drugiej stronie łóżka jeszcze dwa takie same stołki.*

DOCHTOR (*obleczony na białe, ze słuchawkami lekarskimi na karku*):

Jak się czujecie te piątne dni po operacji? (*zaglondo na kroplówka*) Mocie dzisiaj, panie Korfanty, tak mocniyszo kroplówka.

KORFANTY:

Jo już czuja się całkiem źle. Chyba coraz gorzej z mnem. Po tej operacji żodyn mi jeszcze nie powiedział, co dali będzie.

DOCHTOR:

Muszymy teraz yno rzykać, żeby było lepi.

KORFANTY:

Przećca wszyscy rzykajom, a nic lepi nie ma.

DOCHTOR:

Zaroz przidzie tu wasza rodzina, to bydzie sie pan czuł już lepi.

KORFANTY:

A jo i jeść już niy moga.

DOCHTOR:

Bezto ta kropłówka jest, żeby wom wzmocnić cołki organizm.

KORFANTY:

Ale chyba już niy bydzie dobrze...

Uchylajom sie drzwi i wchodzi Elźbiyta.

ELŻBIYTA:

Jako to dzisiej ci jest, Wojciechu? Czy chocioż trocha lepij?

Podchodzi do łóżka i całuje go w gowa.

KORFANTY:

Siednij sie sam blisko kole mie.

Elźbiyta biere jedyn ze zydlów i siado kole łóżka.

ELŻBIYTA (do Dochtora):

Panie dochtorze, czy jest to jako nadzieja na wyzdrowiynie?

DOCHTOR:

Dali my mu dzisiej tako mocniyszo kropłówka. Trzeba teraz yno czekać.

U nos, sam, we szpitalu św. Józefa, zrobimy wszystko, co yno bydymy mogli.

Byćcie sam przy niymu, jo ida teraz kajś indzi, ale potym sam jeszcze przida.

Dochtor spoglondo jeszcze na Korfantego i wychodzi.

KORFANTY:

Elźbiytka moja, widzisz, niy ma już nadzieji. Yno przinajmniej już mi niy śmierdzi, jak w tym wynziyniu. Tam cołki czos śmierdziało. Jakoby na migdały. Yno jak mie brali na przesłuchanio, to niy śmierdziało. A tak to durch żech czuł tyn smród. A teraz, jak już niy śmierdzi, to moga normalnie dychać. Yno że jo już som czuja, że niydługo podychom.

ELŻBIYTA (zmartwiono):

Niy godej tak. Przeca żyjesz i jest żeś pod dobrom opiekom naszego dochtora. (lamyntuje) Co łoni ci zrobili w tym wynziyniu! Co łoni ci zrobili! Żeby tak człowieka sponiwywierać. I za co? Za to, że żeś boł za Polskom na Śląsku.

ELŻBIYTA:

Czamu to sie ciongnie tak bez cołki czos? Jak niy sponiwywiram cie Nymcy, to zaś sponiwywiram Poloki. Przeca żeś boł i jest żeś za Polskom, a Poloki durch cie majom za wroga.

Elźbiyta idzie do łóżka, poprawio zygówek pod plecami Korfantego.

ELŻBIYTA:

Dzisiej mo przjechać twój brat Janek. Dali my mu znać, coby gibko do ciebie sam przjechał.

KORFANTY:

To dobrze, że sam przjedzie. Ciesza sie, że sam jesteście, bo jo czuja, że to już niydlugo bydzie koniec.

ELŻBIYTA:

Niy godej tak... Dali my na mszo sam, we Warszawie, a Jan miał tysz dać w Szopiynicach i moja mama u nos w Bytomiu. Bydzie dobrze, zoboczysz. Jeszcze pojedziesz do Katowic. Pojademy wszyscy razem. Wszyscy już więdzom, że cie wypuścili już z wynziynio i więdzom tyż, żeś jest ciynżko chory. I w gazetach tyż pisali.

ELŻBIYTA:

Durch my pisali do Warszawy, żeby cie puścili z wynziynio. I ludzie, i gazety tyż sie wstowiali za tobom. A oni tak jakby nic niy słyszeli. A przeca żeś boł i tukej w Sejmie, i tukej przy rzondzie u Witosa. No niy wiym, czamu tak sie zaparli, coby cie sponiywyrać.

KORFANTY:

Oni teraz chcom pokazać, kto sam teraz rzondzi. Jak żech niy boł za sanacyjom, to znaczoło, że bołem przeciwko nim i beztuż mie tak durch gnymbiom.
Uchylajom sie drzwi i wchodzi Jan.

JAN:

Sam żeś jest, Wojciechu... Dziyń dobry. Witej. *(podchodzi do łóżka i wito sie z bratym)* Jechołech piyrzom banom, jako yno była.

KORFANTY:

Dobrze, że żeś przjechał. Chca ci pedzieć, jak jeszcze żyja, żebyś sie wcale ty niy miyszoł do polityki. Styknie, jak jo żech politykował. Ale ty – pamiyntej – niy podej sie na mie i niy miyszej sie do niczego. Niy wierz nigdy żodnemu, bo widzisz, co mi zrobili. Jak żech boł w Prusach za Polskom, to mie Niymscy gnymbili. A teraz, jak żech jest już w Polsce, to Poloki mi żyć niy dajom. Tak choćbych boł ich wielkim wrogym.

ELŻBIYTA:

Ale Wojciechu, musimy przeca dbać teraz o nasz Ślonsk. Jak yno zaś bydzie kiedyś nasz Sejm w Katowicach, to zaś byda chciała tam być, jak wtedy żech tam była, jak jeszcze Sejm Ślonski boł, nim go rozwionzali.

KORFANTY:

Być pewno, że Sejmu Ślonskiego już niy bydzie. Sanacyjo niy do nom już nic. Yno zebrali to, co my po Powstaniach im dali i żodyn nawet niy podziynkowół. A mi sie tak odwdziynczyli, żech dziadym zostoł bez jeich sanacyjo. A teroz ani do Katowic żech niy mógł przijechać, bo na mie zaroz policjantów naślali i zawarli w hereście.

ELŻBIYTA:

Ja, Piłsudski już umar, a teroz, jak yno przidzie wojna, to bydymy widzieli, co polski rzond tyż robi.

KORFANTY:

Ja, łoni myśłom, że im sie yno należy. Za moja robota to żodyn ani słowym mi niy podziynkowół, że tela dostali ziymi, tela grub i hut. Żodyn nic nie pedzioł. Tak jakby to tak miało być. A dyc Polska niy chciała trzeciego Powstania, a potym to sie upominała o pijondze za gruby, huty, ziymie i od Niymców.

JAN:

Ani cie nie puścili na pogrzyb waszego Witka. Tak ci zapłacili! Yno my tyż na tym cyrpieli i twoje dziecka. Wielu one sie napłakały...

KORFANTY:

Niydługo wojna bydzie. Hitler już pakt o niyagresji miyndzy nami rozwionzoł i chnet sam bydzie. Wtedy zoboczmy, jakie to te Poloki w rzondzie som bohater. Potym yno ludzie bydom cyrpieć, a łoni majom kaj uciekać. I ucieknom.

JAN:

Jo czytoł w gazetach, jak na ciebie najyżdżali, jak żeś miyszkoł we Francyi, to razym z Paderewskim, tam, kaj zaś on miyszkoł, w Morges, we Szwajcarii, załožioł Front przeciw sanacyji. Oni niy umieli przeboleć, że wos tam tela było znakomitych i znanych Poloków. I oficerów. Bo przeca i generał Sikorski tam boł, i Haller, i jeszcze inksi.

ELŻBIYTA:

I jo sie nasłuchałać, co o tobie godali. Ale nigdy niy było mi gańba iść po ulicy. Ludzie mie powożajom, a kto wiy, żech jest z Korfantych, to mie zawsze uściskujom.

Korfanty zwiyszou poleku gowa.

JAN:

Wojciech, coraz słabi wyglondosz, póda po dochtora.

Wychodzi.

ELŻBIYTA:

Niy trzeba ci czegoś, Wojciechu? Niy chcesz pić? Albo co zjeść?

KORFANTY:

Niy moga nic jeść. Ale pić mi sie chce.

Wchodzą Jan i Dochtor.

DOCHTOR:

Panie Korfanty, musimy wzionć was do inkszy izbetki, kaj zrobimy wam take jeszcze jedno badanie.

DOCHTOR (*patrzy na kroplówka*):

No, już sie prawie skończy ta kroplówka, to jo jom odłoncza i weznymy was stond na tym łóżku. Ale zaroz przyjadymy nazod, jak yno porobiymy te badania.

*Dochtor odłonczo kroplówka i z Janem bierom łóżko
i poleku, delikatnie wyjyżdżają z nim za drzwi.*

ELŻBIYTA (*sama do siebie*):

Co nos jeszcze czeko, co nos jeszcze czeko?

Idzie ku łóżku i pościelo łóżko, poklepuje pierzina, zygówek.

Wchodzi Dochtor.

DOCHTOR:

Robiymy jeszcze jedno take badanie. Ale prziszlech ku wam tukej, bo musza wam pedzieć, że trzeba sie szykować na najgorsze. Jak wiycie, piynć dni tymu zrobiółem operacja waszemu Wojciechowi.

ELŻBIYTA:

Wiy, wiy. Ale chcecie mi coś pedzieć o ty operacyji?

DOCHTOR:

Ja. Bo jak my go otwarli, to we środku było wszystko ze wrzodami. I czorne.

ELŻBIYTA:

Jak to?

DOCHTOR:

Mi sie wydowo, że panu Wojciechowi musieli dować trucizna jakoś. Bo żeby tako czorna wontroba była, to yno z trucizny.

ELŻBIYTA:

To oni go tam truli?

DOCHTOR:

Tego niy wiy na zicher. Ale take coś żech jeszcze niy widzioł. Ktoś mi pedzioł, że bezmajś to mogli oni tyż wyszmarować truciznom ściany w hereście, kaj on siedzioł i tak poleku dychoł tam i sie som zatrupoł.

ELŻBIYTA (*głośno*):

Co wy godocie! To co oni som we wercie.

DOCHTOR:

Pani Elżbiyto, ciszyj! Niy godejcie głośno, bo sam niy somy sami. Wiyzniynie musiało być dło pana Wojciecha bardzo cinyńkie, bo i widzicie, jaki jest chudy.

ELŻBIYTA:

A myślicie panie doktorze, że do sie go uleczyć i uratować?

DOCHTOR:

Nic sie niy do zrobić. Szykujcie sie na pogrzyb, i to richtich już fest blisko. Abo i jutro.

ELŻBIYTA (*zaczyno płakać*):

I tego my sie doczekali, że on ani na Ślonsku niy umrze. Yno kajś daleko. We Warszawie.

DOCHTOR:

Łotrzijcie oczy, bo zaroz przywieziemy sam Wojciecha, a niych niy widzi, że płaczecie.

Dochtor wychodzi.

ELŻBIYTA (*do siebie*):

Niy płakać, niy płakać... A jak sam niy płakać, jak tako rzecz nos czeko!
Otwiyrajom sie drzwi i wwożom Wojciecha.

JAN:

No, to żeś już jest zaś na swoim miyjscu, bracie.

KORFANTY:

Dziynkuja, panie dochtorze. Ale dali nic mi niy lepi.

DOCHTOR (*chyto Korfantego za rynka*):

No, najważniysze, panie Wojciechu, że sam mocie dobro opieka i somście pod naszom kontrolom.

KORFANTY:

Czy dobro opieka i kontrola, to nic niy znaczy, skoro do umarcio trzeba sie szykować.

ELŻBIYTA:

Co ty godosz Wojciechu?

JAN:

To tak sie źle czujesz, że nom godosz take rzeczy?

KORFANTY:

A wiela jest godzin?

JAN:

Równy południe.

KORFANTY:

A kerego dzisiaj jest?

JAN:

16 siyrpnia. Środa.

KORFANTY:

No to jo wom powiym i przypomna: jutro bydzie 20 lot, jak było piyrwsze Po-
wstanie Ślonskie. Pamiyntocie?

ELŻBIYTA I JAN (*razym*):

Ja, richtich.

KORFANTY:

To jo wom powiym jeszcze, że one rozpoczynło sie o czwarty rano. I jo jutro
o czwarty rano bych chcioł umrzeć. Tako bydzie dło mie nagroda...

ELŻBIYTA:

Niy godej tak. Przeca żeś jest we szpitalu i cie tukej wyleczom!

KORFANTY:

Niy wyleczom.

JAN:

Przeca umiom już dużo wyleczyć chorób roztomajtych.

KORFANTY:

Niy wyleczom. Jo to czuja, że jutro bydzie już koniec. (*Korfanty podnosi się na
zygówku pod plecami*) I suchejcie teroz, co wom powiym. (*dumnie unosi się
w łóżku i godo*): Elżbiytko i Janie. Moja rodzino kochano. Powiydz Elżbiytko
to tyż mojim dzieciom: i Halszce, i Maryjce, a ty Janie tyż swoim. Wyboczcie
mi, że bezy mie mieliście czasym ciynżkie życie. Żeście musieli niyroz i płą-
kać, i uciekać, i byliście tyż sponiywiyrani. Bo to wszystko bezy mnie. I piyrw
łód Niymców i potym łód Poloków dostowaliście tako zapłata za moje przy-
wionzanie do Polski. Wyboczcie mi, prosza wos bardzo. Wyboczcie. Może
jeszcze przidzie czas, że docyni ktoś to, co jo zech robiół i zrobioł dło Polski.
Może kedyś Polsko nie obróci sie ody mie. I powiydzcie ludziom na Ślonsku,
żeby niy odeszli od Polski. Mimo że mie i inkszych Poloków Polska niy do-
cynio. Historio moje nazwisko już mo zapisane i one gańby niy prziniesło
ani mi, ani wom. Chciołbych, żeby było piyknie zapisane i niy zapomniane.

Elżbiyta zaczyno płakać. Jan przisunął sie do Korfantego i słucho.

KORFANTY:

„Cud nad Wisłom” uratował Polsko od zguby. Zgodzom sie. Ale i „cud nad Odrom” doł Polsce Śląsk. I skuli tego Polsko urosła w siła i miała w ciynż-kich czasach podstawy do rozwoju, miyndzy innymi pijondzami ze Ślonska. Bo jakby niy te pijondze ślonskie, toby Polsko niy była tako, jako teraz jest.

KORFANTY (*już słabnonc*):

„Cudu nad Wisłom” i „cudu nad Odrom” nie zrobiół żodyn dyktator ani żodyn polityk. Yno to cały naród, i polski, i ślonski, to zrobiół. I wygromy! Muszyny zrobić wszystko, aby na naszymy ziymy ludzie ślonskie byli swojimi gospodarzami, a niy inksze jakieś sam sie rzondzili. Bezto trzeba sie szkolić i niy poddować sie.

Korfanty skończył swoją godka.

JAN:

Tak jakbyś godoł na Sejmie.

ELŻBIYTA:

Tyś to zawsze umioł tak piyknie godać.

KORFANTY:

Ale to niy wszystko jeszcze. Wiym, że za niydługo bydzie wojna. Niymcy chcom zebrać niy yno Śląsk, ale i cało Polska. Abo i jeszcze wincy. Poleku bierom, co chcom. Austrio i Czechy już zebrały.

JAN:

Niy czujesz sie słaby? Może chcesz iść spać?

KORFANTY:

Niy, doczkejcie jeszcze trocha. Jeszcze mom coś ważnego wom do pedzynio. Słuchejcie. Jak sam yno przidom Niymcy, to zaroz uciekejcie. Ale yno bez-
tuż, że nazywocie sie Korfanty. Jak Niymcy znojdomego kogoś z takim nazwi-
skiy, od razu was wsadzom do hereštu abo zabijom. Beztuż musicie ucie-
kać, ale daleko. Najlepi do Ameryki. Tam wom żodyn nic niy robi.

ELŻBIYTA:

Kaj? Do Ameryki? Tak daleko? Ale jak ty chcesz pojechać, jak leżysz chory?

KORFANTY:

Ja. Tak daleko. I weź wszystkie nasze pijondze z banku. Jo już niy pojada, bo na pewno umrze niydługo. To zostaniesz sama z moimi braćmi i dziećmi.

ELŻBIYTA:

Przestoń tak godać, Wojciechu, przestoń, bo jo już niy mom siły. (*zaczyno płakać*) Jak jo bez ciebie kaj pojada?

KORFANTY:

Pojedziesz. Musisz. Pamiyntej. Jedź do Ameryki. Bo sam ani w Polsce, ani w Niemcach niy bydziesz miała życio ani sama, ani dło dzieci.

Korfanty słabnie na łóżku.

JAN:

Jo im pomoga, niy starej sie.

*Elżbiyta płacze i przitulo sie do Wojciecha, a Jan
przytrzymuje go za rynka, bo widzi, że słabnie.*

KORFANTY:

Idźcie już. A przidźcie zaś jutro. Yno pamiyntejcie, że jutro, 17 siyrpnio o czwor-
ty rano, jest 20 lot od piyrwszego naszego Powstanie. Ale żodyn o nim niy
pamiynto. Ani o drugim, ani o trzecim. A przeca skuli tych Powstań Polska
jest teroz bogatszo i mondrzejszo. Przeca my wygrali!

ELŻBIYTA:

Bydymy pamiyntali. Bydymy.

JAN:

Wojciechu, to przidymy jutro.

KORFANTY:

Przidźcie. Byda czekał na was. Teroz chce mi sie spać. I prziniyście mi jesz-
cze yno taki mały krziżik, to go byda sam miał blisko siebie.

ELŻBIYTA (*z płaczem*):

Ale już niy myncz sie i śpij. My pódymy już. Ale jo sam przida jeszcze i przy-
niesa ci tyn krziżik.

*Elżbiyta ociyro oczy ze płaczu. Jan biere jom do sia i razym wychodzm z izby.
A Korfanty ciynżko sie dychnoł i spokojnie usnoł.*

KONIEC

GRZEŚ ŁOBLAPIO KRES

Danuta Orenowicz

OSOBY:

MARTA

GRZEGORZ

TOMEK

SCENA I (i jedyna)

Cima, las, grzmi i sie blysko. Modo frelka na leśny drożce rozglondo sie niypewnie. Za niom widać asfaltowo droga i auto na poboczu.

MARTA:

Kaj jo jest? Przeca znom te miejsca. Za zakryntym jest brzozowy zagajnik, a potym droga idzie prosto, po bokach rosnom topole, potym zaś skrynt w prawo i już widać hotel. A tom drożkom chodzi sie na skróty, żeby przynoszczyńdzić jake 15 minut. Ino że po jasnoku, a niy w środku nocy... Że tyż zech sie zgodziła! „Jedź, napisz artykuł, wypromuj mnie i mój tomik. To jedyna szansa, żeby przyczytać na okładce: Tomasz Lasoch. Wiersze”. Ja, Tomuś, „W życiu trzeba być trocha niemożliwym” – to pedzioł Oscar Wilde, a tyś stond do-tond i bestoż jo tu teraz jest... Może sie wroca do auta i doczkom rana? Że tyż sie musiało popsuć! A telefon musioł sie rozładować.

Naroz słychać trzask gałązek, jakby ftoś deptoł leśny chrust.

Marta cofo sie, rozglondo, nikogo niy widzi. Po jeji lewy stronie wylazi po leku wielgo postać chopa w czornym mantlu i kapeluszu nasuniyntym na czoło, a rynce trzymie sztywno wzdłuż ciała. Stowo.

GRZEGORZ (*udaje chopa*):

Jo je sam. Saaam...

Marta tyż stowo przerażono.

MARTA:

Kaj? Ftoś ty?

Łobroco sie w kółko i żodnego niy widzi. Zwyrto sie jeszcze roz i spostrzego chopa.

MARTA (*ryczy*):

Ftoś ty je?! Idź sie stond! Tu zaroz przileci mój chop i ci pokoże dziołchy zaczepiać! O, już wyłazi z auta i zaroz tu bydzie! Niy zbliżej sie ku mie! Niiyy!...

*Chop pomału idzie ku ni, stowo przed niom, przesuwo
kapelusza na zadek gowy i zaczyno sie rzać na cały las.*

GRZEGORZ:

Ale zech cie nabro! A bołaś sie tak, że małoś mi sam niy wykopyrtła. I fto tu je łodważny? Dyć tak żeś sie chwoliła, że w nocy możesz iść na smyntorz i nic ci niy robiom trupy w kostnicy, a teraz cało sie trzyniesz.

MARTA (*ledwie żywo*):

Grzegorz, to tyś je?

GRZEGORZ:

To jo! Niy pamiyntosz mie? Latoś, jak żeście tu przyjechali, to my z tobom i Tomkym siadowali na ławce przed hotelom i łosprawiali o innych światach, o zombiokach, o duchach?

MARTA:

Ach, co innego godać, a co innego napotkać ducha w lesie! W godce toś bohater, a jak przidzie co do czego – toś bajtel rozbeczany! Ale co ty tu robisz? Jest dziesiynć w nocy, burza, zimno – co tu robisz, chopie?

GRZEGORZ:

Widzisz, mom tako przypadłość, o keryj mało fto wiy. Ty i twój Tomek tyż niy wycie. Jak żeście mie poznali tego lata, to jo już to mioł. O 10.00 był jeszcze jasnok. Cima robiło sie kole 12.00, pra? I wtedy jo wyłaził z doma i krążył po lesie do trzeci. Potym szel nazod do chałpy i społ do rana jak zabity. Na drugi dziyn to samo, i na trzeci, i cały czos.

MARTA:

Ale po co krążysz po lesie? Po cimoku? W dyszcz?

GRZEGORZ:

Jo musza śpiywać.

MARTA:

Śpiywać?!

GRZEGORZ:

Ja, śpiywać. Żodyn niy wiy, jak łaża po lesie i śpiywom wszystkie arie operowe, kere znom.

MARTA:

Śpiywosz – i jeszcze co robisz? Ino śpiywosz?

GRZEGORZ:

Ha, żebyś ty wiedziała! Siadaj sam, tu jest sucho pod tymi krzakami. Podście-
la ci moja peleryna. Siadom sie tu zawsze, jak zacznom mój łobchód. Szyku-
ja sie mój głos, moje wargi i jynzyk, lica tyż, żeby zaśpiewać nojlepi, jak umia.
Jak sie już wyćwicza, to przez te zielone stromy patrza w niebo, kere goreje łód
mojego podziwionio i tak mi sie zdo, jakby ftoś tam wołół: „Grześ, idź i rób,
co chcesz! ”. A jo czuja take przonie do wszystkigo, co wele mie, że mie roz-
piyro radość abo swoboda, abo i to, i to – że wstowom i z rynkami rozcapie-
rzonymi leca przedsia, żeby śpiywać wszystko, co jest kole mie i w mie. I tak
leca jak wichler, dyszcz nyy dyszcz, aż sie zmachom i musza stanońć. A wte-
dy jasnok bije z nieba i zaś słysza tyn glos: „Grześ, kańś jest kres...”. I sto-
wom jak sup soli, i patrza wielgimi łoczami, bo naroz wiym, że moje śpiywa-
nie i tyn las, i jo, i niebo, i dyszcz – to jest jedno. I choć przeminie, Martuś,
nyy żół mi niczego. Jo to wszystko zagarniom, żeby mieć roz na zawsze. Tak,
Martuś, niyroz tak mom...

MARTA:

„Grześ łobłapio kres!”

GRZEGORZ:

Ha, Ha! Dobrze pedziane! Ty tyż umisz śpiywać. A twój Tomuś?

MARTA:

A katać tam. Wiysz co – i tak jest już niyskoro. I tak sie spóźnia. Wstowej,
moga z tobom śpiywać?

Grzegorz i Marta wstawają.

GRZEGORZ:

Czekej, czekej, jo ci chca pedzieć, że dzisiej jest cołkiym inno noc. Dzisiej
w hotelu za zakryntym goście wywołujom duchy. Przyjechało całe towarzy-
stwo cudoków. I abo chodzm zapatrzyni hań tam, abo siedzm przy stoliku
i nic nyy godajom, ino kurzom wielge faję i pijom gorzoła, abo patrzm na
cia jak na dziwoka i nyy przestanom, aże śleziesz im z łoczów. Jo myndyku-
ja, że łoni sprowadzm na nos tu wszystkich jakeś niyszczynście. I nyy byda
umioł tego zatrzymać...

MARTA:

Grzesiu! Ha, ha! Jo tyż tam jada do tych cudoków! To artysty co pizsom ksionż-
ki. Sjechali sie sam, bo środek lasa i żodyn im nyy przeszkodzo w myndyko-
waniu. Łażom, kaj chcom, patrzm przed sia i snokwiajom roźniste wyda-
rzenia. Przywołujom duchy i wkłudzajom je do swoich ksionżek. A wiela sie

namynczom! Żebyś ty wiedział, jak łoni dugo niyroz muszom łązić tam i nazod, żeby im sie wszystko poukłodało w tych snokwionych berach! A potym sie radujom jak bajtle, kedy widzom, że ludzie czytajom ich ksionżki.

GRZEGORZ:

To ludzie je czytajom?

MARTA:

Prawdziwe cudoki zawsze majom czytelników. Ale wiysz, tych prawdziwych cudoków jest niywiela, może dziesiyńc na tysiąc, a te druge ino udowajom... Poć, pódymy do nich, napijymy sie kapka, a potym polotomy.

GRZEGORZ (*chichro sie*):

Ich jest ino dwanostu, to żodyn niy jest prawdziwym cudokym...
Ruszajom leśnom drożkom, przestało łoć, świyci ksiynżyc.

GRZEGORZ:

A co ty tam bydziesz robiła?

MARTA:

Musza o nich napisać, choć wołałabych polotać po lesie.
Słychać wołanie: Marta, Marta!

MARTA:

O, Tomek. Tu jesteśmy!
Na dróżka wlatuje typowy poeta – Tomek.

TOMEK:

No wiesz, szukam cię już od pół godziny. Biegam po lesie i złość we mnie narasta. Miałas być godzinę temu. Auto stoi na poboczu, a ciebie nie ma. Znów jesteś nieodpowiedzialna. Wszystko zależy od tego artykułu, a ty szwendasz się po lesie z jakimś pajacem.

GRZEGORZ (*groźnie*):

Ino niy pajac, som żeś jest hampelman, cudoku.

TOMEK:

Coś ty powiedział? Jaki man?

GRZEGORZ:

Hampelman.

MARTA (*z ożywieniem*):

Tomek, to jest Grześ, nie pamiętasz go z wakacji? Mieszka tu przecież. Spotkaliśmy się teraz, gdy zabłądziłam. On...

TOMEK (*przerzywo godka Marty*):

No to mogłaś już dawno być w hotelu! Wiesz, ile mam do stracenia?

MARTA (*ze śmiechem*):

Ale to Grześ! Opowiadał mi o swojej „przypadłości”, jak ją nazwał, a to najpiękniejsza poezja i modlitwa jednocześnie. Chciałabym żyć w takim zachwycie jak on. To Grześ, który zna swoją pieśń! I łobłapio kres!

TOMEK:

Co ty bredzisz, kobieto?

MARTA (*do siebie*):

I moja pieśń też zno...

MARTA (*łobraco się do Grzegorza*):

Grześ, lecymy śpiywać!

TOMEK:

Jak to? Tak sobie teraz odejdiesz? Z tym obwiesiem?

MARTA (*chyto Grzegorza za rynka i godo do Tomka*):

Nawet niy wiysz, jako żech rada skuli tego, że ida w ćmok bez ciebie, że ida śpiywać. Tomuś, szkryflej dali swoje bery i fandzol trzi po trzi. Może trefi ci sie jako frelka, co zoboczy w ciebie cudoka prawdziwego i ty w to uwierzysz. A może niy. Wtedy sie spamiyntosz i może bydom jeszcze z ciebie ludzie.

Tomek patrzy na Marta w osłupieniu. Tymczasem Grzegorz i Marta łodchodzą. Dziółcha łobraco się jeszcze, przystowo i woło do Tomka:

MARTA:

I niy siyj zamyntu w gowach, bo prawdziwo poezjo jest ino w prawdziwym życiu! Czasym trefi sie taki ftoś, co jom nosi w sobie – i już wiysz, że z nim bydziesz lotać po całkim świecie! Bo te lotanie mo wyynkszy syns niżli tysiąc napisanych zajtow. No, chyba żeś prawdziwy cudok, POETA, wtedy całe życie bydom ci biły najpiękniejsze dzwony, a ludzie bydom powtorzać twoje pieśni, bo każdymu potrzebno jest i prowda, i piynkno!

Idom w leśny ćmok.

NA KOŻDEGO PRZIDZIE DRAN

Joanna Sodzawiczny

OSOBY:

KOPIDOŁ

BABA

OSKAR

FARORZYCZEK

Kierchow, zmynczony chop kopie dziura, naroz sie rozglondo i zaskoczony godo:

KOPIDOŁ:

Łobejrzicie! Bioło gynś na kierchowie... Skond łona sie sam wziyna? Musiała komuś uciyc. Potym cie, gadzino, chycą, bo mom sam mocka roboty jeszcze. Ło drugi sie pogrzyb zaczyno, a jo jeszcze niygotowy. Cheba sie pierony wściekły w tym tydniu, to już szworty niyboszczyk łod środy... Dwóch zakopej, dwie dziury wykopej i jeszcze ta dzisiejszo... Pierzinie, doć jo sie z tom robotom dzisioj zećmia. A każdy chce mieć dziura na już. Co łoni myślom, że jo sam byda cało noc siedzioł? Yno niych spróbujom mi na flaszka niy dać, to nastympnego im na stojąco zakopia. I psinco mie interesuje, czy to bydzie dochtor, czy rector... Jak im sie niy podobo, to niych sami kopiom. Nawet im rylka dom i niych machajom. Myślołby fto, że to taki miód. Czy mie sie fto pytoł, czy jo chca być kopidołym? Toć że niy! Moja mi ta fucha łobsztalowała. Roz żech popił... fest... z kolegami. Budza sie rano... wele pionty po połedniu. Nady mnom stoi moja ślubno i pado: „Niy bydziesz yno durś ślepoł ty gorzoły”. A coch mioł inkszego robić, jak wtynczos byłech już na pyndzyji? Tak tyż żech i padoł, a ta zaś swoje: „Na grubie żeś robił, kopać umisz, to sie za kopidoła nadosz... Farorzyczek padajom, że szukajom nowego, bo stary wzion i umar. Toch jo mu zaro padała, że mu mojego Karliczka pośła. Za robota sie chycisz, to niy bydziesz żar... No, bier sie, bo już na ciebie farorzyczek czekajom na kierchowie, żeby ci pokazać co i jak”. No i latoś minyło łozymność lot, jak sam we wsi te dziury kopia. Eh, a wiela razy mi przyszło

kopać w dyszczu abo we śniegu. Wiele razy musiołech kości cofać, bo jednego na drugim chowali, abo po kostki we marasie sie topłać, bo woda wylała. Przidom, pochachmyncom i tela, a ty sie chopie martw...

Słysząc głośny huk.

KOPIDOŁ:

Jezderkusie, babo, ale żeś mie wystraszyła.

BABA (znerwowano):

Karliczku, a tyś jeszcze niy gotowy? Dyc praje połednie.

KOPIDOŁ (tyż znerwowany):

No i co z tego?

BABA:

No niy zdążysz...

KOPIDOŁ:

Babo! Meter na dwa na meter siedymdziesiont. Wiysz wiele to je kopanio? A podź yno bliży i se łobejrzi... som kamyń. Jo sie pytom, fto taki plac ob-szterowoł? Ty myślisz, że to je tak łaps-draps...

Im bardzi kopidoł nerwowi, tym bardzi baba potulniyszo.

BABA:

No niy. Yno pamiyntej, że cudzemu tego niy kopiesz...

KOPIDOŁ:

Babo! Czy jo ci do garcow zaglondoł? Bez tyła lot coś nawarzyła, toch zjod. A niy łaził po kuchni, deklami czaskoł i dogadywoł... Toż sie tera ty łod moi roboty cof!

BABA:

Karliczku, ale ty wiysz, że ty musisz być przed połedniym fertich? Dyc żodyn na ciebie czekoł niy bydzie! Tyła ludzi przidzie i co pedzom?

KOPIDOŁ:

Nic sie, babo, niy starej, zdąża. A porychtowane mom wszyjstko?

BABA:

Ja! Ancug wisi na szranku, binder mosz w lewy kapsie, koszula wybiglowa-no, a szczewiki wyglancowane.

KOPIDOŁ:

Te bronotne? Bo te druge mie cisnom...

BABA:

Nic cie cisnońć niy bydzie, wszyjstko je galantne.

KOPIDOŁ:

A piniondze mom?

BABA:

Jaaaa... w ty mały kapsce.

KOPIDOŁ:

Yno tela? Czamu niy dwadziścia?

BABA:

Dziesiyń ci styknie, a bydziesz miół wiynco, to jeszcze stracisz...

KOPIDOŁ:

A! gupoty godosz. Bryle, taszyntuch, ksionżeczka?

BABA:

Wszystko co ci trza, to mosz przyrychtowane.

KOPIDOŁ:

No dobre, sam to skończa i póda do dom.

BABA:

Dobre, Karliczku, dobre... Yno uwiń sie, bo mie już je tesno za tobom.
(z *lekkim strachym*) I niy stroć sie kaj po drodze.

*Baba odchodzi, kopidoł patrzy za niom chwila, potym
siado i zaczyna kurzyć cygareta.*

KOPIDOŁ:

Tesno! Tela lot mi spokoju niy dała, nad łebom durś trajlowała, a tera ci przidzie i powie: „Uwiń sie, bo mi tesno”. Już jo ji sie straca po drodze... Przynajmi byda miół spokoj, a tak to pieron wi, co łona zaś wymyśli. Jak jom znom, to mi koże siednóńć na pierzinie, czimać sie za rynka i jeszcze dzióbką dawać. Cheba zgupna przy tymu.

Naroz ftoś klepie go po plecach, drugi chop.

OSKAR:

Niy starej sie, tak źle niy bydzie.

KOPIDOŁ:

Padosz?

OSKAR:

Padom.

KOPIDOŁ:

No jak tak padosz, to mono mosz recht.

*Przez chwila siedzom, nic niy godajom i kurzom,
w końcu Karlik rozglondo sie i pado:*

KOPIDOŁ:

Wysz, tyn plac sam niy ma wcale taki zły... Łobejrzi jak te brzóska fajnie rosnom.

OSKAR:

Blank fajne... ciyń dowajom i jak słońce wysoko, to przynajmni po łoczach niy blyndzi. A jak wiater wieje, to tyż słychać, jak w liściach szumi.

KOPIDOŁ:

Yno dyszcza niy słychać.

OSKAR:

Żeby dyszcz słyseć, to trza mieć blaszany dekel z truły! Ja, to słyszysz i dyszcz, i jak koledzy przydom ci poloć jednego...

KOPIDOŁ (*do sia*):

Tak dobrze to cheba niy bydzie. Ale napić to bych sie napił piwa.

OSKAR:

Mogymy is do szynku. Momy czas.

KOPIDOŁ:

Jo tam tera mało łaża.

OSKAR:

Czamu?

KOPIDOŁ:

Pamiyntosz jak umar Francek Cyprys?

OSKAR:

No ja.

KOPIDOŁ:

Jo go już wtedy zakopywoł, potym poszłech do baru skora opić i sie mie Antek Mozgalik pyto, fto bydzie nastympny, toch mu padoł: „Ty”... I pech chcioł, że za dwa dni kojtnoł. A potym zaś keryś roz siedza przy piwie i włazi Francek, wiysz, tyn od Anki przedowaczki chop. Zawsze mie dżaźnił, wtedy przyszoł i sie mie pyto, komu tera byda kopoł. A jo stanoł, wyciągłech czolstok, pomierzyłech go i padołech: „Ciebie”... A na drugi dziyń moja mi pado: „Francek umar”. Tera jak ida, to mi koždy abo piwo stawio, abo pitajom jak yno wleza... Ani pogodać ni ma z kim, bo koždy wydygany.

OSKAR:

A tam we szopce ni mosz co?

KOPIDOŁ:

A kaj! Farorzyczek przyłażom i sprawdzajom.

OSKAR:

Czamu? Napochołeś co?

KOPIDOŁ:

A przestoń... Zaro napochołeś. Jak przed wojnom gudbyzicer sie łożar i wpod do świyżo wykopany dziury, to każdy sie do dzisiej śmieje, jak to pańszczor-ki wystraszył, jak sie z dziury gramolił nad ranym. A mie sie roz zdarzyło i zaro larmo na cało wieś.

OSKAR:

Ha, ha, ha! Co to za baby wystraszyłeś?

KOPIDOŁ:

Żodne baby. Klosztorne panny, jak na fatimskie szły. Farorzyczek przylecioł potym i tak ryczoł, że jo myśłoł, że hercklektow dostanie. Ryczoł, że mie wy-ciepnie... że to, że tamto... Dar sie jak stare prześcieradło. Ale skończyło sie na tym, że sprawdzo i mie, i szopka... Toż tera siedza o suchym pysku. A ciebie co sam skludzo?

OSKAR:

Skuli ciebie żech tu je.

KOPIDOŁ:

Ach zoł... Momy jeszcze czas?

OSKAR:

Pora minut sie znojdzie. Wykurz spokojnie i pódymy.
Mijo chwila, kopidoł gasi cygareta.

KOPIDOŁ:

A jak tam je?

OSKAR:

Ani za ciepło, ani za zima...

Zaś mijo chwila.

KOPIDOŁ:

A ta moja to mi tam bydzie fest fuczwała?

OSKAR:

Jak bydziesz chcioł, żeby fuczwała, to bydzie. Jak niy bydziesz chcioł, to niy bydzie...

Mijo nastympno chwila, kopidoł musi przemyśleć to, co Oskar pedzioł.

KOPIDOŁ:

Ale zostać sam niy moga?

OSKAR:

Niy! Z ty drogi sie już cofnoć niy idzie.

KOPIDOŁ (*dychnoł głymboko*):

No to podź!

*Stowajom oba i idom, a z drugi strony włazi farorzyczek i cały kondukt
pogrzebowy. Kondukt stowo kole świeżo wykopanego grobu.*

FARORZYZCEK:

Bracia i siostry, zebraliśmy się tutaj, żeby pożegnać naszego brata Karola. Męża i ojca, który od lat pełnił funkcję grabarza w naszej parafii. Spocznie tu obok swojej żony i wieloletniego przyjaciela Oskara Połapa.

Gęś i głośny huk to zwiastuny śmierci.

*Kopidoł Karliczek to autentyczna postać ornontowickiego
grabarza. Historie, które opowiada, również są prawdziwe.*

HAJMAT SPAKOWANY W TASZA

Marcin Szewczyk

OSOBY:

RUDI – bratanek od Zigi, brat Erwina, foter Jorga

ERWIN – młodszy brat od Rudigo

JORG – synek od Rudigo

ZIGA – onkel od Rudigo

MIEJSCE: Rybnik

BINA PIYRSZO

Zima 1975 roku. Noc. Do izby nastoletniego Rudika wchodzi onkel

Ziguś. Rudi stowo zadziwowany. Ziga ucisza go gestem palca

przekładanego do gymby i siodo mu na kraj od przykole.

ZIGA:

Być pocichszy. Nie stowej. Słuchej, musza ci coś pedzieć. Nie pódymy w ta niedziela na szpil ROW-u.

RUDI:

Och to nic, onkel. To je yno szpil z Legiom, by to z Ruchym, abo z GieKS-om grali, ale na kabociorzy nie bydzie mi żol nie iś.

ZIGA:

Rudik, za tydziń też nie pódymy. W ogóle nie wiym, czy jeszcze kiedy sie na jaki szpil wybieremy.

RUDI:

Po jakimu?

ZIGA:

Jada do Rajchu. Zarozki wylazuja. Korzystom z okazji, że Gierek pozwolił jechać do Efu i pitom z tego kraju.

RUDI:

Jako to tak? Ostawiocie nas? Tak na stałe?

ZIGA:

Ja.

RUDI:

A starzik co na to? Dyc on je na tych Niymców nawrany choby drift hajcungi.

ZIGA:

On tak je na wszystkich nawrany, bo je stary, chory, a zmierzły. Na Niymców, Rusów, Poloków, Pepików i Hamerykonów. Ale on nic nie wiy, że jada. Żodynmu żech nic nie godoł, ani starzikowi, ani twojemu fotrowi. Nie głosiylech tego, że chca jechać. Tukej ni ma żodnej przyszłości. Zresztom jak przidziesz do lot i życio skosztujesz, to spokopisz, o czym godom. Tu ci zostawiom brif. Dosz go fotrowi, jak przidzie z nocnij. Tam je wszystko napisane.

RUDI:

Toż czamu mu tego nie powiyecie ofyn?

ZIGA:

On by tego nie spokopiyl, starzik zresztom też. Bestóż musza tak, jak sie nie chca powadzić.

RUDI:

I tak sie na was obrażom.

ZIGA:

Ja, ale chociaż jo spamiynca ich tak, jak ech ich ostawiyl, a nie w haji a butlu, kere tak by mie czekały.

RUDI:

A co z chałupom? Dopiyro coście jom z fotrym wyszykowali. Mocie dyc cołki sztok do sia na wiyrchu. I jeszcze tyn ogór ze zadku. Nie żol wom tego?

ZIGA (*wzdycha*):

Wybocz, ale ni. Jak żech padoł, tukej ni ma przyszłości. W szuli ci erklerujom, że Zachód i Hameryka som zgniyle i złe, ale to ni ma prowda.

RUDI:

Tela to wiy dyc.

ZIGA:

Toż rozumisz, że tukej nie idzie normalnie żyć. Jo sie sam dusza, umiyrom. Nie ślimtej!

RUDI:

Dyc nie ślimca, onkel.

ZIGA:

Nie fulej, nawet po ćmoku widza, że mosz maźglate ślypia i głos ci sie telepie.
Nie starej sie o mie. Byda o was pamiyntoł i przesyłoł wom pakiety. Poć sam.
*Ziga ścisko ramiami Rudika. Potym stowo, kiwie mu
rynkom na do widzynia i na odchodne godo:*

ZIGA:

Chow sie. Wyściskej też ody mie Erwina.
Wylazuje.

BINA DRUGO

*Rok 1993. Rudi i Erwin, dorosłe już chopy, siedzom
na tapczanie i dziwajom sie na fusbale. Pijom biyr.*

RUDI:

Dobrze, że momy już tyn dach poterowany. Jeszcze yny dźwyrze założy-
my i bydzie garaż jak trza. Do końca września bydymy mieć to fertich. A na
drugi rok, jak se ty auto kupisz, to dobudujmy drugo tajla i też go bydziesz
mioł kaj trzimać.

ERWIN:

Wysz, jo nie byda jednak tego auta kupowoł.

RUDI:

Po jakimu? Maluch ci nie odpowiadło? Dyc już mosz tela piniyndzy naszp-
rowane. Do wiosny byś to fechtynł. Wolołbyś zaroz jaki wyynksze?

ERWIN:

Zmiyniylech zdani. Na razie w ogóle nie byda auta kupowoł.

RUDI:

O pierona! Ty bydziesz mioł można bajtla z Cilkom!

ERWIN:

Ach skończ. Coś ty to wymyślył za gupota.

RUDI:

Toż coś to wymyndykowoł? Na co chcesz udać tyn geld?

ERWIN:

Wylosowalimy z Cilom zielono karta.

RUDI:

A na co wom zielono karta?

ERWIN:

A na co je zielono karta? Coby do Hameryki jechać, ni?

RUDI:

I chcecie do Stanów sie kludzić? Po kigoż pierona?

ERWIN:

Do lepszego życio, do wolności. Dorobić sie.

RUDI:

A tukej mosz sie źle? W sklepach fachy pełne. Momy ta wolność w końcu, mo-
gesz godać co chcesz, mieć co chcesz i robić co ci sie podobo. Tyś już mi sie
zdo zapomniol, jako za Jaruzela było, jak we sklepach był yno ocet a zymft,
a po cestach pancry jeźdzyły. Co ci sam terozki brakuje?

ERWIN:

Skończ fandzolić. Momy wolność i pełno towaru w sklepach, ale tak rych-
tyk to sie nic nie zmiyniło, przy korycie durch mosz te same czerwone świ-
nie co przedtym. Na pierona była ta cołko rewolucjo, jak som widzisz, co sie
robi. Wszystko je rozkradane, a ludzie som pomiatani i cyganiyni. A tam mom
wyynksze możliwości! Widzisz, tu żech już dwa gyszefty zmarnowol, bo sztyjc
jakiś cuda i kontrole yno wymyślajom, podatki, sanepid, składki, fundusze.
Terozki jeszcze tyn VAT i akczyza. Tam tego ni ma. Tam idzie rychtyk działać.

RUDI:

A skończyłbyś już wynokwiać z tymi gyszeftami i sie normalnej roboty chy-
cił. Na dyc czamu na gruba nie pódziesz choby jo?

ERWIN:

Coby na starość umiyrać na pylica jak starzik i foter? Widzioleś jako to je.
Starzik ni miol jeszcze szejesiont, a już nie umiol ani do kościoła zońs, bo za-
rozki za płotym stowol i dyszoł. Foter pomału mo to samo. Jo tak nie zamie-
rzom skończyć. Zresztom to już je postanowione. Za dwa miesionce momy lot.

RUDI:

Jak tam chcecie. To je wasze życi. Ale pomyśloleś se, co foter powiy? Pamiyn-
tosz jaki był wściekły, jak onkel Ziguś pojechał do Rajchu? Uciyk tak rychtyk,
bo tyn to żodnymu nic nie padoł.

ERWIN:

A co mo foter pedzieć. Na onkla był obrażony, ale jak yno granice otworzy-
li i ujek przijechoł na niezapowiedziany byzuch, to mu z mety przeszło. Fo-
tra bydzie napewnie tesno, ale jak sie tam urzondzimy, to was zaproszymy,
nie starej sie.

RUDI:

Jo tam nikaj nie pojada.

ERWIN:

Skończ spórować, dobre?

RUDI:

Jo nie spóruja. Zwyczajnie nie rozumia. Powiedz mi, po pierona my tyn remont w chałupie robili, jakeście sie żyniły z Cilom? Cołki wywrchni sztok odmalowany, nowo delówka dano, meble.

ERWIN:

Nie wiedziolech jeszcze wtedy, że bydzie nawet taki losowani. Niedowno żech tam papióry poskłodoł. Ale to wszystko zmiynio, moiesz se tam zamiyszkąć z Helom i Jorgusiyem, abo onymu samymu na przyszłość plac wyszykować. Jo tego ze sobom nie wezna, bo za drogo.

Chwila siedzom po cichu i dziwajom sie na szpil w telewizorze.

Po chwili Erwin odkłodo pusto flaszką na stół.

ERWIN:

No nie być na mie zły. Łyknyemy jeszcze po biyrze na drugo połowa? Czy z tej spóry nie bydziesz już symnom piył.

RUDI (*trocha burkliwie*):

Prziniyś.

Erwin idzie po biyr i zarozki wraco z dwoma otwartymi flaszkami.

RUDI:

Jo ni mom spóry. Je mi trocha żol yno, że sie familia tak rozłazi.

ERWIN:

Dyć sam byda was odwiedzoł, i licza, że ty też jednak do mie przijedziesz kiedy. Musisz zrozumieć, że jo w Polsce do głowy dostana. Jo nie umia tak jak ty czy foter, cołki życi dupać na grubie i dziynnie rzykać o wyjazd na wiyrch. Ty! Dziwej sie! Gol! Juskowiak strzelył.

RUDI:

Ach kaj, zajrzy na syndzigo, spalony był. Rzić króliczo, a nie gol. Nie pojady-my na miszczostwa.

ERWIN:

Ale Hamerykony som gospodarzami, to moze do mie za rok do Nowego Jorku przijedziesz i onym pokibicujemy, co?

RUDI:

Ja, yhy.

BINA TRZECIO

*Rok 2008. Przed budynkiym Politechniki Ślonski czeko Rudi.
Je nerwowy, chodzi wta i wewta. Po chwili podchodzi ku niemu Jorg.*

RUDI:

No i jako?

JORG:

Piontka! Od dzisiaj mogecie mie foter mianować magister inżynier!

RUDI (*ścisko synka*):

Ja, moge jeszcze ci mom zacząć dwojać, co?

JORG:

No moglibyście.

RUDI:

Ja, yhy. Kule, ale mutra bydzie dumno. Piyrszy magister we familii! Trza bydzie koniecznie jako flaszka otworzyć. No wiadomo, że nie dzisiaj, bo napewnie ze synkami kaj wybywosz, ale ze starym też sie napijesz, pra?

JORG:

No toż toć foter, że sie z wami też napija.

RUDI:

Ale sie terazki bydymy tobom chwolić. Co terazki bydziesz robiył? Robisz se jeszcze wakacje, czy od razu idziesz roboty szukać?

JORG:

Myśłołech coby zaś do Anglie pojechać.

RUDI:

Przirobić zaś bez wakacje? W sumie też mogesz, na pewno ci tam lepszy zapłacom niż sam i przy tymu jeszcze co zwiedzisz. Jakeś ońskigo roku pojechał za tego gupigo kelnera robić, toś se po powrocie auto kupiył i masa zdjyńć przwióz. A widzisz, tyn twój kompel, tyn Łukasz, też za kelnera robiył, yno sam i ni mo durch nic, a do tego w rzici był.

JORG:

Ale... jo foter myśłoł na stałe.

RUDI:

Jako to na stałe? Na dyć studia mosz, sam za tela zarobisz, ni musisz tam cołki życi za kelnera robić.

JORG:

Ni za kelnera. Już żech tam sie dziwoł za robotom. W Londynie w elektrowni gynał szukajom na gwołt ludzi z mojim wykształcyniym. Już żech śnimi mailowoł nawet, podowołech wyniki w nauce i tak dalij. Som fest zainteresowani. Padali, że jak yno skończa szkoła, to bierom mie bez pytanie. Dwa tysionce na rynka.

RUDI:

Dwa tysionce? Do inżyniera? Dyc u nas dostaniesz roz tak tela...

JORG:

Dwa tysionce funtów foter. Nie złotych.

RUDI:

To wiela to je na nasze?

JORG:

Jaki dziesiyńc tysiyncy z hokiym.

Rudi otwiyro gymba z wrażynio.

RUDI:

Taki piniondze?!

JORG:

Gynał. Bestoż ni moGESZ mi sie dziwować. To je do mie szansa, tukej o takich piniondzach moga yno pomarzyć, a tam moga szartnyc z kopyta zaroz, a nie dorabiać sie cołki żywot. Na to dyc żech sie tela uczył. Ty też se terozki już dychniesz. Na pyndzyja za chwila pódziesz, auto, chałupa, nic yno korzystać. Jo by wom sam yno zawadzoł. Foter, dobrze sie czujecie? Jakoś żeście som czerwoni po gymbie.

RUDI (*chyto dech ciynżko*):

Ach to nic. Za moc emocji, hercklekotów ech jakiś dostoł. Ostatnio tak mom jak za moc myśła abo sie nerwuja. A tu mom terozki festelny natłok wszyski-go, i jeszcze tyn stres skuli tej twoji obrony. Cołko noc żech nie społ i rzykoł, cobyś dobrze to zdoł.

JORG:

No to opłacyło sie te rzykani. Zdołech, i to perfekt! A terozki pódź, jady-my do dom, bo mutra napewnie rolady narychtowała. Mosz, napij sie wody.

Jorg wyciongo z tasze flaszką wody i dowo fotrowi.

ERWIN:

Jorguś, jeszcze ni mieli my okazje pogodać, bo dopiyo w nocy zech z lotniska przijechoł. Powiysz mi co to sie stało tak rychtyk?

JORG:

Herc. Foter od czasu, jak poszoł na pyndzyjo, zaczął chorować na pluca i ciśniyni. Piynć dni nazot, jak siedzioł na balkonie i dziwoł sie na onklowy sad, dostoł hercszlag i umrzył. Muter godali, że go ponad godzina reanimowali, ale na nic.

ERWIN:

Kule, to je jakiś przekłyństwo. Starzik a foter też tak umiyrali, ale nie tak młodo. Dyc on mioł latoś dopiyo piyndzisiont mieć!

ZIGA:

Gynał, ale zamiast na gyburstag przijechali my na pogrzyb. Tak to już je, że widzimy sie już terazki yno na pogrzebach abo jakich wielkich imprezach. Tak nas wywioło każdego w inkszo strona. Co terazki bydziesz robiył Jorguś? Bydziesz sie do mamy nazot kludziył?

JORG:

Kaj tam. Z całom familiom? Z Megan i z dwójkom małych bajtli, coby muter do głowy dostała? Ni, ni. Zresztom co bych sam mioł na Ślonsku robić? Sam ni ma roboty do mie. Gruby zawiyrantom, przemysł sie likwiduje. Ni ma szans.

ERWIN:

To mama sama ostanie w tej wielkiej chałupie?

JORG:

Ni, gdołech śniom, proponowołech ji nawet, coby sie do mie przekludziyla do Londynu, ale padała, że nie chce. Że żodnego tam nie zno, jynzyka nie umi. Godała już z ciociom Neszkom i do nij sie chce wkludzić.

ZIGA:

Dobry pomysł, ona chopa ni mo, bajtli też. A onym dwóm w małym miysz-kanku bydzie wygodnie, bo to dycki łatwij niż cołko chałupa obrobiac. A właśnie, co terazki z tom chałupom?

JORG:

Pół chałupy durch je Erwinowe, drugi pół też już foter pora lot nazot doł przepisać na mie. No a sad od zawsze był onklowy.

ZIGA:

Ja, ja, mój wielki sad. Nie wiem po co Rudi tak fest chcioł, żeby durch był mój. Chciołech mu go oddać darmo, godołech mu, co jo sie w Rajchu dorobił i nie potrzebuja tego konska ziymie, ale nigdy nie chcioł go wzionś. Posadził tam pora stromków i obrobił go yno darymnie, a podatek płacił. Padoł mi, że dzieciom zostawia, ale moi synki majom cołki życi tam. Oni Polska znajom yno ze starych zdjynć pomału.

ERWIN:

No, osobliwie, że jejich mutra je Belgijkom.

ZIGA:

Flamandkom. Nie godej ji tak nigdy głośno, bo cie tak ochrzani, że ci uszy klapnom.

ERWIN:

A to je tako różnica?

ZIGA:

Pieronowo, to tak, jakbych cie gorolym nazwoł.

ERWIN:

OK, już poradza spokopić. Byda sie wachowoł. A co do tej chałupy, to wom coś powiym. I o waszym sadzie, onkel, i o tym mojim sztoku. Dwa lata nazot, jakech był sam ostatni roz na byzuchu, na ostatni dziyń przed mojim wyjaz-
dym siedli my z Rudikiym ku gorzole. Wiycie, co on nigdy nie był za fest wy-
lywny, a dowiedzieć sie co od niego graniczyło z cudym. Jakoś tak doś moc
my wypyli jednak, i trocha jynzyk mu sie rozwionzoł. Gynał wtedy na pyn-
dzyja szoł i se forsztelowoł, jako to terozki bydzie, że bydzie miał wyncy cza-
su, to w końcu tym sadym sie zajmnie, na nowo chałupa zaś chcioł remon-
tować, ocieplać, kolektory zakłodać i tak dalij. Im wyncy my mieli wypite,
tym wyncy on godoł.

Erwin przerywo na momynt.

ZIGA:

Erwin, ku czemu zmierzosz?

ERWIN (*wzdycha*):

Forsztelujcie se to. On durch wszystko robił tak, choby my mieli nazot kiedy
przyjechać. Osprawioł o was onkel, że na starość napewnie bydziecie chcieli
wrócić z nimieckom pyndzyjom tukej. Godoł, że skuli tego trefi mu przero-
bić i dźwignąć staro warzkuchnia, co byście mieli kaj z babom miyszkać. Mie
godoł, że jak yno sie dorobia, to mom mu dać znać, zanim przijada, to on mi

tyn mój sztok wyrychtuje. Górka jeszcze chcioł na poddasze przerabiać. Godoł, że na razie yno tak, coby Jorguś mioł kaj na byzuch przijżdźać, ale potym jakby mioł wracać, to też już rozważowoł, jako to chycić, coby całość do miyszkano wyrychtować. On durch na nas czekoł. On to jakoś padoł... że rozumi, że my musieli spakować hajmat w tasza i pitać do lepszego życio, ale że sam ta chałupa i tyn hajmat durch na nas czeko.

Dłuszo chwila je cicho.

ZIGA:

To był rychtyk Ślonzok. Z korzyniami tak głymboko wrosnytymi w ta ziy-mia, że nawet wojna czy zaraza by go stond nie ruszyła. Choby mój starzik, co piechty aż z Ukrainy sam wrócił po wojnie.

JORG:

Terozki rozumia, co on mioł na myśli, jak dycki godoł o hajmacie. Jo myśłoł, że wiy, co on mo na myśli, że rozchodzi mu sie o wspomniynia, o zwyczaj-e, o godka, szmak rolad czy kołocza. Liczyłech se, że rozumia, co to je. A tak rychtyk psińco wiedziołech. Jako tak idzie sie tak fest z miejszym zrosnyć?

ERWIN:

Jorguś, powiydz mi tak szczerze. Jakby muter nie chciała sie kludzić do ciotki i nalygała, cobyś sie koniecznie sam przekludziył. Zrobiyłbyś to?

JORG:

Na dyc godom ci, że jak już, to ona do mie by sie mogła przekludzić. Propo-nowołech ji to. Jo w Londynie mom robota, chałupa, znajomych. Terozki tam miyszkom, tam je mój...

ZIGA (*wlazuje mu w słowo*):

Hajmat. Powiyw wom, że my ta nasza ziy-mia sam sprzedali. Sprzedalimy za marki, funty a dolary. Zapomnielimy jako sam szmakuje kołocz, jak sam sie chodzyło na fusbal czy do kościoła. Rozmiyniyli my to na drobne. Pora sta-rych zdjync i pamiontek, to je cały nasz hajmat na tej ymigracji. Wszyisko schowane w jednej taszy, coroz to bardzi zaciepanej roztomańnymi szparga-łami na dnie szranku. Rudik to wiedzioł, i szykował nom sam azył wszystkim. Do niego hajmatym nie był yno Ślonsk, ta chałupa czy ziy-mia. My wszyscy w jednym miejsu, familia w kupie, to był jego hajmat. Znocie porzykadło: „Pnioki, krzoki ptoki”, ni? On był tym rychtyk pniokiym, stond byś go nie wy-targoł. Za to my wszyscy jak te ptoki wyfurgli samstond na zawsze.

Chwila żodyn nic nie godo. W końcu odzywo sie Erwin.

ERWIN:

To jako z tom chałupom w końcu? Moge ostawiymy to tak jak to je, koždy swoja tajla, bydymy sam na byzuch jeździć...

ZIGA:

Do kogo? Do kogo sam chcesz jeździć? Foter nie żyjom, Rudik też. Jorguś jeszcze mo mutra, ale my? Jo sam pomału żodnego nie znam już. Wszystko sie pomiyniło, ludzie, budynki, cesty. Sprzedejmy to lepszy, czynić piniyndzy domy mamie od Jorga i bydymy mieć to z głowy. Zresztom kery by miał sam na to dbać, terazki jak Rudika już ni ma?

ERWIN:

Prowda.

Zaś je chwila cicho.

ZIGA:

Powiydzie mi karlusy. Je jeszcze po co miyszkać na tym Ślonsku? Kej durch wszyscy stond ciyngiym wyjyżdżajom. Starzik nazywoł Ślonsk perlom w koronie. Ponoć kiedyś sie sam zjyżdżali ludzie z cołki Europy, coby sie dorobiać. A terazki? Ślonzoki som rozciepane po cołkim świecie i sie tracom.

BINA PIONTO

*Chałupa. Jorg sie pakuje, rompluje przy tym dość fest, przegłondo
wszyski szafki a szranki. Wyciongo roztomańte zdjynca,
dewocjonalia, ozdoby. Po chwili wlazujom też Erwin a Ziga.*

ERWIN:

A ty co tak romplujesz z samego rana? Spiychosz sie na samolot?

JORG:

Ja.

ZIGA:

A na co żeś tyn lejamt sam zrobiył? Po co żeś powyciongoł te wszyscy rzeczy?

JORG:

Onkel, jako by ci to pedzieć. Pakuja hajmat w tasza.

KONIEC

Anna Wojtkowska-Witala

*Historyjo blank prawdziwo,
ku pamiynci bracika moi omy – Andrzeja „Jyndry” Suchy (1.06.1905 – 28.12.1985)*

WYSTYMPUJOM:

JYNDRA – żyniaty, dzieciaty, lot czidziści piynć
MARYJKA – baba łod Jyndry, lot dwadziścia łozym
HANEK – tyn, s kierym Maryjka trzimie
MATKA JYNDRY
ŁOCIEC JYNDRY
WOJOK
JO, CZYLI ANA, KIERO TO NASZKRYFLAŁA

BINO PIYRWSZO

*Jes rok tysionc dziewiynćset szterdziysty. Fiszla. Na łociypkach siana leżom Maryjka
i Hanek. Łon jom łobmacuje, łona to sie chichro, to sie łod niego łodsuwo.*

MARYJKA:

Dej pokoj, dej pokoj s tym łobmacywanym. Ftoś tu przilezie i zakapuje Jyndrze, a łon mie potym maźnie bez pysk.

HANEK:

Durch fulosz jedno a to samo! Trza sie było niy wydować za niego. Czamuś go niy ciepła przy ołtorzu?

MARYJKA (*ślimto*):

Dyć mi kozali za niego iść...

HANEK:

No ja, jo je elwer. Dlo twoi familiji chaderlok i biydok.

MARYJKA:

Niy godej tak, przeca wiysz, że ci przaja.

HANEK:

Mie sie już brzidzi ino sie czaić i czaić. Dyc to już sztyry lata! Jo cie chca ino do siebie, a niy pospołu s twoim chopym!

Hanek maco Maryjka po cykach.

MARYJKA:

Dej pokoj, dej pokoj... Zarozki ftoś tu może wlyż...

HANEK:

Żodyn niy wlezie, dyc wszyscy som na niyszporach.

MARYJKA:

Jo tyż miałach iść. Bydom cosik podyrzywać, jak przida niyskoro.

Maryjka wstowo, ale Hanek chyto jom za kiecka.

HANEK:

Tak bych cie poseblykoł, łobejrzołbych cie po sagu...

MARYJKA:

Dej mi slys na doł, przeca wiysz, że trza mi iść.

HANEK:

Maryjka, ty mie ino słuchej! Twój chop sie musi stracić!

MARYJKA (*klapuje cółkim wylynkano na łociypka*):

Jezderkusie! Chcesz go ukatrupić?! Hanek, tyś chyba niy je monter?!

HANEK:

Zarozki ukatrupić! Czy jo je mordyrz? Taki gryfny karlus jak jo i mordyrz?

Za kogo ty mie mosz?

MARYJKA:

Hanek, ty sie na mie niy gorsz. Jo dedukowała, co ty go chcesz zachlastać...

HANEK:

Maryjka, ty niy medykuj, ino słuchej, ale nojpiyrw sam sie ponknij...

Hanek siado wele Maryjki i godo i cosik do ucha, ale nic sam niy słychać.

BINO DRUGO

*We kuchni: byfjy, stoł, stołki, wele łokna leżanka. Nad leżankom śwynty
łobrozek – Śwynto Paniynka. Na piecu gorki. Jyndra, Matka i Łocieć siedzom
przi stole. Jyndra łobleczonej jak szkopski wojok. Matka ześlimtano smarko
roz po roz do taszyntucha. Łocieć kipuże cygareta do aszynbechra.*

JYNDRA:

Ja, matka, łocieć... Trza sie zbiyrać...

MATKA:

Synek, dyc jo durch niy wiym, czamu cie wziyni do ty wojaczki? Ze szkopa-
mi do naszych bydziesz szczyłoł. Czego jo sie doczkała... (*ślimto*)

JYNDRA:

Matka, niy ślimtejcie. Ani sie niy łobejrzycie, a byda nazod.

ŁOCIEC:

Niy ślimtej, matka...

MATKA:

Dyc my w plebiscyie za Polskom łobstowali, a łon do szkopskiego wojska cion-
gnie. Łocieć, poradź cosik!

ŁOCIEC:

Był zech przeca w Katowicach, godolech, że łon już za stary, że mo baba i dwie
małe cery... To mi padali, że za łojczyzno trza mu wojować.

MATKA:

Niy fulej mi tu łocieć! Szkopy to niy naszo łojczyzno!

ŁOCIEC:

Dyc wiym. Ino ci godom, co mi padali.

JYNDRA:

Matka, łocieć. Niy wadźcie sie... Rzykejcie lepi za mie i dejcie pozor na Ma-
ryjka, bo łona durch ślimto. Terozki uciykła ze zgryzoty na fiszla.

Jyndra wstowo, Matka i Łocieć tyż.

ŁOCIEC:

Ja, domy pozor.

MATKA:

Idź synek s Bogiym. Ino pamiyntej, do naszych niy szczyłać!

JYNDRA:

Niy byda, niy byda... Chowcie sie...

*Jyndra klynko przed łojcami. Łoni kładom pazury na jego łepie i rzykajom.
Potym Jyndra wstowo, przeżegnuje sie i wylazi. Drzwiyrze za nim
zawiyrajom sie po cichu. Matka i Łocieć stojom bez ruchu. Trwo to może
s poł minuty. Naroz Matka chyto Łojca za rynkow i godo półszeptym.*

MATKA:

Łocieć, łon sie niy może dowiedzieć, że go Maryjka do ty wojaczki zakapowała.

ŁOCIEC:

Rodzone dziecko my musieli cyganić, że nic niy wiymy czamu go wziyni...
Gańba!

MATKA:

Na co nom prziszło. Gańba i grzych.

*Matka idzie i klynko przy leżance, rzyko po cichu przed śwyntym
łobrozkiym. Łocieć pomału depce ku ni i tyż klynko.*

BINO TRZECIO

*Prawucko ćmok, ino co jakiś czos sie blysko. Kaś tam sam cołkim blisko
szczylajom. Jyndra i jeszcze jedyn wojok lecom, lygajom, wstawajom
i zaś lecom. Łoba majom giwery, łoba som łobleczeni w szkopskie
mundury. Naroz jak niy dupnie... Łoba lygajom, jedyn wele drugigo.*

JYNDRA:

Nic tu po nos! Bierymy sie, za fes szczylajom!

WOJOK (*wstowo, łobraco sie tam kaj szczylajom i ryczy na cołki pysk*):

Wy Greki, my som Ślonzoki, a niy szkopy! Łostowcie nos w spokoju... Niy szczy-
lejcie do nos!

JYNDRA (*chyto go za szłapy i łobalo na zymia*):

Przimkni sie, gupieloku, dyć łoni niy wiedzom, co ty godosz. Łoni niy chy-
tajom po naszymu.

WOJOK (*leży na zymy i jynczy*):

Jo niy chca skreпноć tukej... Jo chca do dom...

JYNDRA:

Niy bydź mamlas. Niy domy sie. Dyć my niy som jakieś tam zdechluki, ino
istne Ślonzoki!

Naroz jak zaś niy dupnie... Robi sie widno aże razi po ślypiach i zarozki zaś je ćma.

JYNDRA:

Pitomy!!!

Szczały. Jyndra i wojok wstawajom i drapko gzujom przed sia.

BINO CZWORTO

Jes rok tysionc dziewiynćset szterdziysty pionty. We kuchni wele pieca na ryczce siedzi łociet Jyndry i kurzy cygareta. Narozki wlatuje matka Jyndry.

MATKA:

Łociet, łociet... Jyndra je nazod! Dziynkuja ci, Nojśwyintszo Paniynko...
Matka klynko wele leżanki i rzyko przed śwyntym łobrozkiym. Włazi Jyndra. Łociet wstowo i ścisko sie ze swoim synkiym. Matka dali rzyko.

ŁOCIEC:

Siodej, Jyndra, dychnij se... Matka! Nawarz malckawy, dewej fandzole, co ło-
stały z łobiadu, dyć ino wejrzi, łon je chudy jak szpyndlik.

*Matka wstowo i depce ku piecu. Jyndra sebylko
rugzak, ciepie go na stoł i siado wele łojca.*

ŁOCIEC:

Dewej ino tu tyn rugzak. Dyć cołki mokry. Wyciongej ino co tam mosz, niych
łobeschnie we bratrule.

JYNDRA:

Ja, ja...

Biere rugzak i wyciongo wszystko na stoł.

ŁOCIEC:

Synek, dewej co tam mosz... taszyntuch zesmarkany, zoki smrodlawe... cwi-
bak, cygarety, siarki... zgnite płonki. Dyć nic, ino je wyciepać.

JYNDRA:

Niy wyciepujcie płonek, łociet, łokreje sie i matka wciepnom na kompot.

MATKA (*stawio na stole szolka z malckawom i talyrz z fandzolami*):

Maryjka wiy, żeś nazod?

JYNDRA:

Jo był w doma, ale tam żodnego ni ma. Pozawiyrane.

MATKA:

U swoi matki zaś pewnikiym siedzi, a cery s niom. Ale ty se najpiyrw pojydz
fandzoli, a potym pódziesz do dom.

Jyndra wyciongo z rugzaka mydło, a Łociet filuje na nie z kóždyj strony.

ŁOCIEC:

Łobejrzi ino, matka, jaki mydła dowajom szwabskim wojokom. Ze wgłymbiyniym.

JYNDRA:

Pokożcie ino łociec. Niych łobejrza... Jaki wgłymbiynie? Co to godocie?
Jyndra biere mydło, łoglondo je s koždy strony. Potym biere rugzak, tyż go łoglondo i naroz wcisko palec bez dziura w rugzaku, a potym jak niy dupnie mydłym o stoł, aże rozwalilo sie na kawałki. Po stole kulo sie patrona. Matka chyto jom w pazury.

MATKA:

Jezderkusie, dyc to patrona! Jyndra, do cia szczylali, a trefili we mydło...

JYNDRA:

Fto by pomysloł... Bez cufal zech łobstoł w ty wojaczce...

ŁOCIEC:

Bez mydło, bez mydło...

BINO PIONTO

Łociec, Matka i Jyndra siedzom we kuchni przy stole i łoglondajom patrona. Łotwiyrajom sie drzwiyrze. Wlazuje Maryjka. Wszyscy sie na nia dziwajom.

MARYJKA:

Jyndra... Tyś je nazod...

Cicho. Żodyn nic niy godo. Żodyn sie niy ruszo, łostali jak byli: Maryjka we drzwiyrzach. Jyndra, Matka i Łociec siedzom przy stole. Właza jo, czyli Ana, kiero to naszkryflała. Mijom ich. Stowom na przodku.

JO, CZYLI ANA, KIERO TO NASZKRYFLAŁA:

Rozprowiłach zech Wom tukej to, co naprowda było w moi familiji. Bracik moi omy, na kierego godali Jyndra, był w Grecyi i s tym mydłym to cołko prowda. Moj łociec jeszcze pamiyntajom tyn rugzak s dziurom łod patrony. Ino żodyn niy wiy, czy Maryjka naprowda zakapowała swoigo chopa... Godali, że ja. Ale ino godali. Byłabych rada, coby to było niyprowda, że Ślonzok Ślonzoka zakapowoł. Ale terozki to ino wiy Pon Boczek. Łoni po wojnie żyli jak pies s kotym, ale mieli jeszcze jedna cera. W latach siedymdziesiontych Maryjka citła do Reichu. Jeji chop i cery łostały w Polsce. Ale cery chyba sie na matka podały, bo tyż były s nich pierońskie gizdy. Łojca z chałpy wyciepły

i łon do śmiyrki miyszkoł u swoigo bracika Zefla. Tego samego, kiery był we
czecim powstaniu i spod Anabergu ledwo żywy, piechty do dom przidrało-
woł... Ale to je inakszo historio...

Ja, chowcie sie.

ZBYTE



KATOWICE
dla odmiany



KATOWICE
MIASTO MUZYKI
UNESCO

Jesteśmy dumni...

katowice.eu | katowicecityofmusic.eu

WYDAWCY:

IMAGO PUBLIC RELATIONS



KATOWICE MIASTO OGRODÓW –
INSTYTUCJA KULTURY
IM. KRYSZYNY BOCHENEK



KATOWICE
Miasto Ogrodów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

PARTNER KONKURSU



REGIONALNY
INSTYTUT
KULTURY
W KATOWICACH

PATRONAT MEDIALNY



GAZETA
wyborcza

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

ISBN 978-83-63304-82-9